MYŚLIWY

MIESIĘCZNIK

ROK II POZNAŃ, MARZEC 1938 NR 3

O ZMIERZCHU WIOSENNYM

Odziane w poważną czerń pnie starych olch i szarozielone pnie i konary osik oblały się nagle szkarłatnym rumieńcem, Zaróżowiły się także złotawozielone mchy, pulchnymi poduszkami i kępami wznoszące się wśród ciemnordzawych kałuż, roztopów i topielisk — tu i ówdzie w głębi lasu rozsianych. Jasny przejrzysty błękit wiosennego nieba przybrał jakiś tajemniczy zielonkawy odcień, a przy widnokręgu opromienił się złotem i purpurą promiennego uśmiechu zorzy wieczornej. Dogasające promienie słońca ślizgać się poczęły po mrocznych zakamarkach dna lasu, po pniach i wykrociskach, rozsypując wszędzie tęczowe klejnoty. Łyskały radośnie — niby jaskrawe szmaragdy — pąki na osikach, olchach i wierzbach, uśmiechały się na łozinach rumiane kotki. Przecudną grę barw nadchodzącego zmierzchu odzwierciadlały ciemne tafle kałuż, na dnie których przezierało czarne zbutwiałe listowie, a po wierzchu pływały robaczkowate bazie osik. Gdzieś na wierzchołku wyniosłej osiki wydzwoniła wieczorną modlitwę sikorka, a w odpowiedzi na jej srebrzysty trel posłyszało się przeciągłe gwizdnięcie drozda. Na skraju ozwał się płaczliwym miauczeniem myszołów. Powoli zamierało życie rozedrganego radością wiosennego dnia. Wkraczało poszumem tajemnym, skradaniem się niewidzialnych stworów — życie zmierzchu, życie nocy. Z pobliskich łąk bagnistych nieustannie płynęły dźwięczne tony żabiego hymnu, rechotanie nieokiełzane zwykłych żab i melancholijne, melodyczne jęki kumek. Podmuchy wiatru — jakby urzeczone i onieśmielone wszędzie panującym spokojem — zamarły, gdzieś w odległym gęstowiu i najcieńsze nawet gałązki i źdźbła zastygły w bezruchu. Takie chwile na zawsze utrwalają się w duszy ludzkiej — odczuwającej wówczas swoją wspólnotę z naturą. Nie potrafisz czasami rozróżnić swych myśli lub uczuć, — powstałych samorzutnie, od wrażeń podświadomie wsiąkających w jaźń. Czujesz się wtedy cząstką nieoderwalną tego nasyconego wieczorną poświatą zakątka — taką samą cząstką, jaką jest pobliski pień olszowy, krzak wilczego łyka, mała myszka leśna chrobocząca pod suchym liściem albo szybujący wysoko — baczny na wszystko — groźny gołębiarz. Najbardziej jednak człowiek zespolić się może z naturą wówczas, kiedy jest nie tylko widzem, rozkoszującym się pięknym otoczenia, lecz sam bezpośrednio bierze udział w walce o byt i w różnorodnym, wielobarwnym życiu przyrody.

Takie przeżycia dostępne są tylko myśliwemu. Przemawia doń każdy szelest, każdy dźwięk, każdy głos wydany przez inne współżyjące z nim stworzenia. Jak w tafli roztopu odbija się w jego duszy cień przelatującego ptaka lub ślizgający się po pniach i mchach promień słoneczny. Rozkwita w nim nieśmiałym marzeniem skromny kwiat przelaszczki albo sasanki. Tęsknotą przedziwną dźwięczy — gdzieś głęboko pod powłoką naleciałości



dalekiego od natury życia codziennego — zew pod niebem sunącego klucza dzikich gęsi, powracających z wyraju. Nad skrajem lasu nad zagubioną w bajorach i bagnach, gaconą okrąglakami, drożyną rozlega się nagle jakiś tajemniczy dźwięk — westchnienie zorzy wieczornej — pieśń wiosennego zmierzchu — poemat łączący w sobie tkliwy smutek z uśmiechem. Zaczyna się ciąg słonek . . . Wieczorny ciąg . . . Powoli z nastroszonymi piórami bezszelestnie suną długodziobe ptaki. Od czasu do czasu słychać chrapliwy, rozkosznym dreszczem przejmujący głos — chrapanie lub charkanie, którego żadnym dźwiękiem mowy ludzkiej odtworzyć nie podobna. Niekiedy przyłącza się inny odgłos — coś w rodzaju lekkiego cykania — dającego się naśladować przez szeptem wymawiane „csi, csi" lub „slit, slit". Rozkochane w tajemniczej bogdance rywale staczają między sobą powietrzne boje, koziołkując, ścigając się nawzajem i starając się

dosięgnąć długimi dziobami. Drżą zazdrością roztętnione serduszka małych zapaśników. Drży w tęsknym oczekiwaniu serce upojonego wiosennym zmierzchem myśliwego.

Najlepsze ciągi bywają w ciepłe pogodne wieczory po wiosennym deszczu w drugiej połowie marca lub w kwietniu w takich częściach lasu, gdzie są polany, drogi, parowy lub szersze zręby względnie otwarte mokradła. Samce z zasady zachowują się głośniej i są ruchliwsze od samiczek, które niekiedy nie biorą udziału w ciągu, lecz pozostają w gąszczu i tylko przywabiają kochanków tęsknym cykaniem. Jeżeli zaś ciągną wraz z nimi, to milczkiem lub jedynie przeciągle cykając. Chłodna i wietrzna pogoda wpływa na ciągi ujemnie. Wówczas ptaki rzadko się odzywają, chorkają nieregularnie, lecą szybciej i najwyżej parę razy przelatują nad obranym ostępem. Z ciągami zwykle łączy się wiosenny przelot słonek udających się na północ i zatrzymujących się u nas tylko na krótki odpoczynek. Ulubionym miejscem przelotnych słonek, nadającym się na postoje, są południowe zbocza zalesionych wzgórz, skraje lasu, zręby, parowy, wielkie parki, zarośla w pobliżu pól ozimych, porosłe leszczyną brzegi strumieni leśnych itp. Przy ciepłej wiośnie i masowym przelocie słonki pozostają w tym samym miejscu czasem trzy, a nawet cztery dni, a potem już lecą dalej. Słonki lęgowe przylatujące wraz z gośćmi północnymi, w krótkim czasie przenoszą się z miejsc postojowych do swoich gniazdowisk. Słonka ma zasadniczo charakter marzyciela-odludka i zwykle w czasie przelotów spotykamy najwyżej kilka sztuk podróżujących razem. Czas trwania przelotów i ciągów bywa bardzo różny. Niekiedy dają się obserwować pojedyncze ciągnące słonki-samce jeszcze w czerwcu. Z reguły ciągi dłużej trwają w miejscowościach cieplejszych; na północy zaś są intensywniejsze, lecz krótsze. Najlepszym siedliskiem dla słonek są ciemne, wilgotne lasy z nieokrytą trawą lub mchem glebą, poprzerzynane trybami, drogami i parowami, obfitujące w bagniste zakątki porosłe olchą, brzozą, osiką i łozą. Najważniejszym warunkiem pomyślnego bytowania słonki jest dostateczna miękkość i pulchność gleby, co związane jest z rodzajem jej pożywienia i sposobem zdobywania pokarmu. Podstawowy pokarm słonki stanowią dżdżownice, ślimaki i larwy owadów, na drugim dopiero miejscu trzeba wymienić dorosłe owady, jagody, korzonki, kiełki itd. Pokarm swój słonka zdobywa zanurzając w ziemi dziób, posiadający ciekawą właściwość otwierania się na końcu przy zamkniętej nasadzie. W dzień słonki trzymają się w ciemnym gąszczu, a wieczorem żerują na skrajach lasu, polanach, drogach. Lubią one odwiedzać miejsca, gdzie się pasie bydło. Pora lęgów nastaje bardzo niejednolicie. Trafiają się czasem już w maju spore pisklęta, a w połowie czerwca natomiast ledwie wylęgła młodzież. Samice przystępują do zakładania gniazd wkrótce po przylocie i pierwsze młode wykluwają się w końcu kwietnia lub w początku maja, lecz większość lęgów przypada jednak na koniec maja i początek czerwca. Gniazdo mieści się zwykle w pobliżu żerowisk. Jest to małe wgłębienie wysłane mchem i suchymi liśćmi, starannie ukryte u stóp drzewa między korzeniami lub w gęstym krzaku. Na tym ubogim posłaniu samiczka kładzie 3—5 jaj o szaro białym lub bronzowo orzechowym tle z szaro bronzowymi lub czerwonawymi plamami nieokreślonego kształtu. Po 2½ tygodniach wykluwają się pstrokate miluchne kuleczki już bardzo ruchliwe od razu. Matka tkliwie opiekuje się dziatwą



Słonki Fot. inż. J. Polcyn

i kryje przed wrogiem. Samce w tym czasie chowają się w zacisznych zakątkach i wypierzają się wcześniej niż samice. Lenienie kończy się w sierpniu i słonki przenoszą się z większych lasów do bardziej otwartych okolic olchowych, zarośli na błotach, większych parków, parowów. Wówczas we wrześniu zaczyna się przelot jesienny słonek z północy i odlot naszych słonek lęgowych, kończący się w październiku, chociaż pojedyncze osobniki spotyka się jeszcze w końcu listopada, a nawet zimują. Strzał do słonki nie należy do łatwych, albowiem lot tego ptaka odznacza się nadzwyczajną zwrotnością nawet w tak zdawało by się niesprzyjających warunkach, jakie znajduje ona w swym ulubionym środowisku — gąszczu leśnym. W czasie ciągu samce słonek lecą wolniej i w prostym kierunku, o ile nie koziołkują w powietrzu podczas walk z rywalami. Przed wzrokiem wroga słonka umie doskonale się ukryć przyciskając się do ziemi, gdzie jej nie sposób wprost odróżnić od kupy suchego listowia i butwiejących gałęzi — dzięki brązowopstrokatemu upierzeniu. Do najgroźniejszych wrogów naturalnych słonki zaliczyć trzeba drobne kunowate — niszczące lęgi i młode,

a także chwytające w czasie snu stare sztuki, lisy i borsuki, z drapieżców zaś skrzydlatych: jastrzębie, sokoły, wrony i sroki. Lęgowym słonkom dają się również we znaki nieproszeni goście, włóczęgi psy i koty zdziczałe. Myśliwemu największą rozkosz daje bezsprzecznie polowanie na ciągach wiosennych. Przeloty jesienne lub polowania spod psa — po 16 sierpnia — nie mają tego subtelnego uroku, jakim są przepojone ciągi godowe na wiosnę.

Płonie blednącym rumieńcem zorza wieczorna. Nad starymi olchami i zgrzybiałymi osikami, pobudzonymi do życia czarodziejskim tchnieniem wiosny, płyną dźwięki tajemnicze, pełne niewysłowionego powabu. Słonki ciągną, słonki cykają i chrapią... Upojeni miłosnym szałem zapaśnicy w tanecznych zwrotach ścigają się nawzajem, opadają w dół — szybują wzwyż i starają się zdobyć serce skromnej, z cichym cykaniem sunącej przed nimi, bogdanki. Jeden z rywali mknie tuż, tuż za nią — dotykając długim czerwonawobrązowym z ciemnym końcem dziobem piórek jej ogona. Pozostali trzej konkurenci, starając się go odepchnąć, chorkają i cykają zapamiętale...

Rodzą się w cichym, zorzą wieczorną upojonym lesie tchnienia poematu, w którym buńczuczna radość młodego życia łączy się ze słodkim smutkiem. Tai się w chwilach wiosennych smutek uśmiechem okryty, uśmiechem przeczystym jak kwiecie na starych mszarach. Tai się słodki smutek w chwilach wiosennego zmierzchu — właśnie dlatego, że chwile te mijają, gasną jak ostatnie odblaski zorzy wieczornej.

Inż. W. Lindemann

Ciąg słonek

Mrok rzedniał. —
Gwiazdy bladły jakby z jakiejś trwogi
przed słonkiem, które ze snu zbudzić się też miało.
Już znikła biała wstęga mlecznej drogi,
tu i ówdzie w leszczynie coś załopotało.
To kos dumny lowelas śpieszy z fryzurą,
żeby móc jak najprędzej rozpocząć swe granie
i gwizdem swym, z zazdrości przegłuszyć śpiewanie
słowika, co przy łożu oddanej kochanki,
wierny danemu słowu, poprzez tarnin szranki,
z zamkniętymi oczyma niebaczny na życie,
o miłości i szale śpiewa wciąż w zachwycie. —
Chrr-psst! Mój Troczek rzucił w górę głowę.
Chrr-psst! To słonka! Ruch jak mgnienie oka
rzucił strzelbę w ramiona!
Przed dziób i połowę
jej długości, huknął strzał!
W chwilę w pysku Troka
zajaśniał u mych kolan samczyk złotopióry.
Zginął w chwili swych pragnień!
Szczęśliwszy ode mnie, bo nie zaznał zawodu!

* * *

Błysnął różowy promień, purpurowy, złoty,
struga żywego srebra oblała wierzchołki
ciemnych, na widnokręgu śpiących, starych dębów.
Wtedy od zakrzewionych, jak ruina zrębów,
popłynęła muzyka. Czystych tonów sploty
zlewały się w akordy, a one wzrastały
w symfonię, której echa nie było, ni końca.
Czy to pieśń mojej duszy?
Czy to chorał słońca?

St. Woszczyński

NA MARGINESIE DOKARMIANIA JELENI I SARN SYSTEMEM FR. VOGTA

Od pewnego czasu polska prasa łowiecka oraz zagraniczna przepełniona jest artykułami na temat książki Fr. Vogta pt. „Neue Wege der Hege" (Nowe drogi hodowli). Czytając te artykuły nasunęło mi się kilka uwag, z którymi chcę się podzielić z czytelnikami „Myśliwego". Z uwagi na to, że w piśmie tym, do tej pory nie ukazał się żaden artykuł, omawiający system dokarmiania Fr. Vogta, przeto pozwolę sobie podać go w skróceniu.

Vogt zadał sobie trud zbadania analitycznego kości i poroży u saren i jeleni i stwierdził, że materiał kostny w obu przypadkach składa się z tych samych pierwiastków. Następnie dokonał szeregu analiz pokarmów roślinnych i doszedł do wniosku, że na to, aby jeleń czy rogacz wytworzył drogą procesu biologicznego masę (rogów), musi w tym okresie pobrać zwiększoną dawkę pasz treściwych, w postaci odpowiednich roślin. Według Vogta dzisiejsza gospodarka leśna, niszcząc chwasty, utrudnia jeleniowi pobranie tych właśnie treściwych pokarmów i dlatego coraz rzadziej spotkać się można z kapitalnym jeleniem lub rogaczem.

W celu przeprowadzenia odpowiednich doświadczeń założył w roku 1928 w lasach Schneeberg koło Bodenbach nad Łabą ogrodzony zwierzyniec o powierzchni 150 ha. Teren został wybrany tak, by zwierzyna nie odczuła, że jest w zamknięciu.

Badania analityczne poroży wykazały, że substancja wieńca w stanie suchszym zawiera 50% fos-

foranu wapna, 5% soli wapienno-magnezjowej oraz 45% różnych pierwiastków organicznych. Chcąc otrzymać wieniec o wadze 10 kg jeleń musi pobrać dla ich wytworzenia 5 kg fosforanu wapna oraz ½ kg soli wapienno-magnezjowej. Ponieważ okres odrastania wieńca trwa przeciętnie 120 dni, przeto jeleń musi w tym okresie przyjmować codziennie około 42 gramów fosforanu wapna.



Fot. E. Kossecki

Po zrzuceniu jednej tyki

Według Vogta jeleń w naturze (w otwartym łowisku, przyp. Red.) takiej ilości fosforanu wapnia w ciągu dnia nie zdobywa. A zatem dla wytworzenia wieńca o wadze 10 kg trzeba go sztucznie dokarmiać. Dokarmianie jeleni paszami treściwymi ma również znaczenie, jeżeli chodzi o szkody, czynione przez jelenie w młodnikach i drągowinach. Jeleń bowiem, nie znajdując w paszy naturalnej potrzebnej ilości tlenku wapna i pięciotlenku fosforu, szuka tych pierwiastków w igliwiu i korze, a nieraz też w burakach i kartoflach. (Sprawa szkód — spałowanie, ogryzanie pędów szczytowych itp. stanowi temat dla siebie. Red.).

Sztuczna pasza treściwa podawana jeleniowi przez Vogta w postaci makuchu sezamowego, rośliny uprawianej w Chinach i Indiach, wszystkie te braki pokrywa.

Fotografie jeleni, a raczej wieńców, zamieszczone w książce Vogta oraz czasopismach łowieckich polskich i zagranicznych dowodzą, że jego doświadczenia dały wyniki dodatnie. Przede wszystkim nie spotykamy wśród jeleni żywionych makuchem sezamowym szpiczaków, widłaków i byków o słabo rozwiniętych wieńcach. Jest to strona dodatnia tego doświadczenia. Istnieje jednak i strona ujemna. Obecnie wytłoczyny sezamowe są bardzo drogie i trudne do zdobycia (w drodze kompensacyjnej). Wprawdzie niektóre firmy (p. ogłoszenia w „Myśliwym“) sprowadziły pewną ilość kuchu sezamowego, lecz nie pokryje to w małej nawet części ogólnego zapotrzebowania. A co będzie, gdy ten zapas się wyczerpie?

Bardzo trudno jest dochować się jelenia o dobrym wieńcu, jeszcze trudniej utrzymać ten wieniec w stanie kapitalnym przez kilka lat, drogą sztucznego dokarmiania. Ale jeśli przez jeden tylko rok nie damy jeleniowi tej paszy treściwej, do której się przyzwyczaił i której nie potrzebował szukać w naturze — to na pewno straci swój właściwie sztucznie wytworzony wieniec i znowu będzie tylko przeciętnym bykiem.

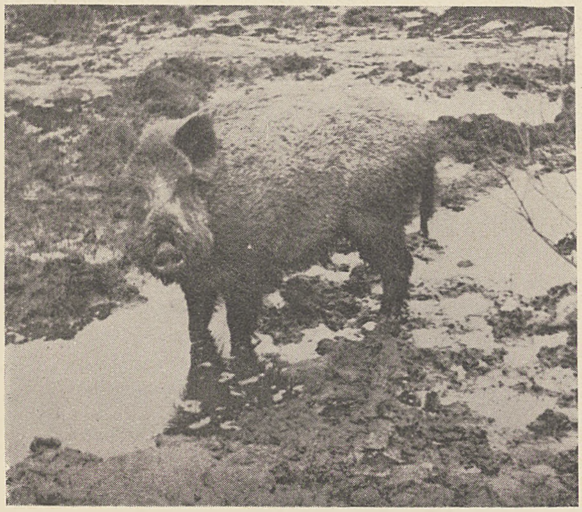
To jedna uwaga, która nasunęła mi się przy czytaniu książki Vogta oraz licznych artykulików o jego systemie dokarmiania zwierzyny płowej.

Pisząc ten artykuł miałem jednakże na uwadze co innego, bardziej że się tak wyrażę, poważnego. Musimy raz na zawsze zastanowić się, czy chcemy mieć jelenia o wieńcu sztucznie wytworzonym, czy też jelenia, którego wieniec byłby jedynie zasługą odpowiedniego postępowania hodowcy-myśliwego. Jeśli chodzi o myśliwego-strzelacza, to temu obojętnym jest, jaką drogą hodowca doszedł do takich, a nie innych wyników hodowli. On chce ubić byka o kapitalnym wieńcu, poza tym nic go nie obchodzi. Inaczej przedstawia się sprawa, gdy poluje prawdziwy miłośnik pierwotnej natury i szlachetnego łowiectwa. Taki człowiek na pewno woli wieniec jelenia „wolnego“, aniżeli nawet najbardziej kapitalny wieniec byka sztucznie dokarmianego.

Owszem, ma rację Vogt, pisząc o coraz rzadszym spotykaniu byka kapitalnego. Ale dlaczego? Rzadkie stosowanie odstrzału selekcyjnego, zmniejszanie w wielu okolicach obszarów leśnych — oto główne moim zdaniem, powody, dla których jest coraz mniej kapitalnych byków. Stosowanie odstrzału indywidualnego, stosowane przez wielu właścicieli terenów jest również powodem, dla którego byk o kapitalnym wieńcu jest coraz rzadszym. I czyż można się dziwić? Jeśli ktoś zapłacił poważną dość sumę za odstrzał jelenia, to chce zdobyć już byka kapitalnego. Jedyną drogą podniesienia jakości wieńca jeleni, jest długoletnia dzierżawa terenu (najmniej 10 lat) oraz racjonalny odstrzał hodowlany.

Niech właściciele terenów jelenich więcej dbają o jakość a nie o ich ilość, a wówczas na pewno spotkanie się z bykiem kapitalnym nie będzie należało do rzadkości. Jako przykład podam moje postępowanie. Przez osiem lat byłem i jestem właścicielem oddanego do mej dyspozycji terenu łowieckiego w powiecie siedleckim. Ziemia kiepska, piaski. W pierwszym roku miałem 18 sztuk sarn

w tym 10 rogaczy. Ale jakich! Pożal się Boże! Jedynie dwa z nich były dobre. Siedem kiepskich rogaczy padło w pierwszym roku. Tak więc miałem w rewirze 8 saren i 3 rogacze. Sąsiedzi wszyscy okrzyczeli mnie kłusownikiem, Bóg wie, co o mnie



Fot. E. Kossecki

„W parcisku“

sobie myśleli. Przez trzy następne lata nie zabiłem ani jednej sztuki. W piątym roku zabiłem dwa rogacze, z których jeden otrzymał srebrny medal na Pokazie Warszawskim w roku 1934. Szósty rok — dwa rogacze, obydwa dobre, siódmy rok — trzy rogacze, również dobre. W ostatnim sezonie, to jest w lecie 1937 roku, zabiłem znowu dwa rogacze. Dopiero teraz sąsiedzi moi przejrzeli. Dzięki mojej na pozór rabunkowej gospodarce hodowlanej pierwszego roku doszedłem do ładnych, dobrych i w rogach i w dziczyźnie, kozłów. Stan ilościowy saren przedstawia się też nienajgorzej, bo dzisiaj na terenie 327 ha posiadam 29 sztuk, w tym 12 rogaczy.

Reasumując to co powiedziałem, uważam, że podnoszenie jakości wieńców i parostków drogą kosztownego dokarmiania jest niekoniecznym. Wystarczy znajomość elementarnych podstaw hodowli zwierzyny płowej, a więc stosowanie racjonalnego hodowlanego odstrzału, tworzenie małych rezerwatów leśnych (nigdy nie ciętych) jako terenów, gdzie warunki życia zwierzyny są najbardziej zbliżone do pierwotnych, aby otrzymać tak cenione kapitalne wieńce i parostki.

Doświadczenia Vogta dobre są w zwierzyńcach zamkniętych, ale wyobrażamy sobie stosowanie jego metod w Karpatach . . . Na szczęście ostatnie lata wykazały, że jelenie zdobywane przez polskich myśliwych na polskich terenach są coraz lepsze. I chociaż na Wystawie Berlińskiej specjalnego sukcesu w dziale jeleni nie odnieśliśmy, to jednak stosując się do wskazówek znanych hodowców, doczekamy się sporej ilości kapitalnych byków, bez uciekania się do sztucznych i kosztownych metod. (O ile nie będziemy strzelać jeleni zbyt młodych. — Przyp. Red.).

Nie starajmy się być za mądrzy, jeśli chodzi o przyrodę! Stwarzajmy dla naszej zwierzyny warunki najbardziej pierwotne, a nie twórzmy obiektów parkowej hodowli. Bo choć one dać mogą rezultaty pozytywne, to jednak nie zadowolą prawdziwego myśliwego.

M. Mniszek Tchórznicki

Przyp. Redakcji. Wszystkie jelenie dokarmiane systemem Vogta posiadają wieńce o długich odnogach i w niczym formą nie przypominają ani typu jelenia nizinnego ani marala. Słusznie można by wieniec takiego jelenia nazwać odmianą „sezamową“ lub „Vogta“, jednakże będzie nią jedynie do czasu podkarmiania jelenia sezamem. O ile się takie podkarmianie przerwie, natenczas wieniec „cofnie się“ do normalnego (poprzedniego) typu, a może będzie jeszcze gorszym. Lepiej zatem nie wprowadzać do przyrody sztucznych tworów.



Fot. Antoni Wiśniewski

Myszołów

OCHRONA LĘGÓW PTAKÓW ŁOWNYCH

Jednym z bardzo późnych szkodników lęgów ptaków łownych, gnieżdżących się na ziemi, jest bezsprzecznie wrona, nie gardzi bowiem niczym, co dla jej dzioba jest osiągalne i nadaje się na pokarm. Szkody ze strony wron są ponadto groźne dlatego, że licznie występują we wszystkich zakątkach kraju. Mowa tu o wronie, a nie o gawronie. Wronę odróżnić można od gawrona na pierwszy rzut oka po barwie upierzenia. Podczas gdy gawron jest koloru jednostajnie stalowego, wrona posiada na grzebiecie siodełko koloru szarego, sięgające do połowy skrzydeł. Co do różnicy w trybie życia, to nadmienić należy, że gawron gnieździ się gromadnie w koloniach, wrona natomiast pojedynczo.

Stopień szkód wyrządzanych lęgom ptasim zależny jest od rozwoju wiosennej wegetacji roślinnej.

Wrona poluje „na oko". Jeżeli zatem wiosną podczas lęgów roślinność jest słabo rozwinięta, trawa rzadka, a koniczyny niewysokie, to wrony z łatwością spostrzegają gniazda, które oczywiście niszczą. Najdotkliwsze bywają szkody w czasie niesienia jaj, kiedy to jaja nieomal przez cały dzień leżą niezakryte, a tym samym wronom szybko „wpadają w oko".

Szkody jakie wyrządzają wrony, niszcząc gniazda, są poważne, bo zwykle długi czas grasują te szkodniki bezkarnie w łowisku, zanim mniej wprawny myśliwy przypadkiem zdoła spostrzec tego rabusia.

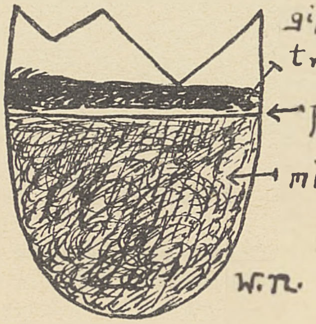
Skoro tylko wrona zoczy coś podejrzanego, natychmiast przerywa rozpoczęte już rabowanie gniazd. Na rolnika, idącego za pługiem, nie zwraca nigdy większej uwagi i zwykle dopiero życzliwy myśliwemu rolnik wskaże wrony-rabusie. Kto nie ma doświadczenia w obserwacji trybu życia wron, ten nigdy nie złapie ich na gorącym uczynku, boć wrona, zrywająca się raptownie z oziminy lub koniczyny, usiadłszy na drzewie daleko poza zasięgiem śrutów myśliwego, zupełnie nie wygląda podejrzanie, czeka jednak tylko na zniknięcie myśliwego z widnokręgu, by móc dokończyć rozpoczęte niszczenie gniazda.

Kto dotychczas mało zajmował się wronami, winien zadać sobie trud obserwowania ich, a prędko przekona się, czemu stan zajęcy, kuropatw i bażantów zmniejsza się w łowisku z roku na rok. Dokarmianie zimowe, ochrona kur bażancich, zakładanie żywopłotów i remiz, których znaczenie docenia się coraz bardziej — są koniecznymi środkami dla hodowli zwierzyny. Jednakże co znaczy to wszystko, skoro nie daje się zwierzynie koniecznej ochrony w tym właśnie czasie, w którym i wrogowie naszej zwierzyny sami potrzebują zwiększonej ilości pokarmu dla wyprowadzenia swego potomstwa.

Niszczenie gniazd odbywa się zasadniczo bardzo szybko, szczególnie wówczas, kiedy wrona skonsumuje swą zdobycz na miejscu. Jednym silnym uderzeniem twardego dzioba zmiażdży skorupę jaja, by wypić wypływającą zawartość. Im częściej wrona kradnie jaja, tym większą zdobywa w tym wprawę.

Musimy sobie uprzytomnić, że za późno jest zabierać się do tępienia wron wówczas dopiero, kiedy już znaleziono zniszczone przez nie gniazda. Skoro nawet rezultat spóźnionego tępienia wron będzie stuprocentowy, to w gruncie rzeczy będzie ono w skutkach tylko połowiczne, bo to co wrony już zdołały zniszczyć, nie wróci się.

Walkę z wronami, srokami, kawkami, sójkami itp. szkodnikami lęgów ptasich należy rozpocząć wczesną wiosną, przed gniazdowaniem się ptaków łownych, a najpóźniej podczas gniazdowania, tj.



w miesiącu kwietniu. Za pomocą strzelby i puhacza trudno dać sobie radę i dlatego myśliwemu pomóc musi trucizna w tym jednym wypadku, w którym używanie jest uzasadnioną koniecznością.

Wcześniejsze tępienie wron (np. w styczniu — lutym) jest mniej celowe, gdyż chodzi nam przede wszystkim o wyniszczenie wron lęgowych, a nie wron gromadnie zalatujących zimą do naszych łowisk. (Wrony przelotne — koczujące). Najlepszy rezultat daje trucie wron za pomocą fosforu (ciasta oleju lub papki fosforowej), który jest lepszy od powszechnie znanej strychniny i to głównie z uwagi na to, że fosfor zachowuje swe właściwości trujące tylko przez pewień okres czasu; jest zatem mniej groźny dla innych zwierząt. O ile np. nie zdołano zebrać wszystkich zatrutych fosforem wron lub innych szkodników, a te przypadkiem znalezione zostały przez lisy lub psy czy też dziki, natenczas nie potrzebujemy się obawiać, by padlina ta wywierała jaki bądź ujemny wpływ na te zwierzęta i to tym bardziej, że fosfor, zawarty w jajach z chwilą spożycia przez wrony i tak się już doszczętnie spalił.

Sporządzenie trutek fosforowych odbywa się dwojako. Za pomocą gwoździa lub innego tp. narzędzia robi się dziurę w jajku (kurzym lub innym), po czym strzykawką wyciąga się z jaja nieco jego zawartości, w zamian czego dodaje się 4—5 kropel olejku fosforowego. Następnie przemiesza się zawartość jajka i zalepia otwor gipsem. Dobrze jest dla ostrożności napisać na jajku „trucizna".

Inny sposób sporządzania trutek fosforowych polega na zużyciu do tego celu skorupy jaj, z których usunięto wierzch w postaci ⅓ jaja, a nie rozbito skorupy w połowie (p. rysunek). Skorupę taką napełnia się do połowy mieszaniną mielonego mięsa ewtl. papki mącznej zaprawionej krwią bydlęcą i ciastem fosforowym w stosunku 4—5 : 1. Na mieszaninę tę, nie dotykając zatrutego mięsa (najlepiej sporządzać trutki te w rękawiczkach, które się później spala), kładzie się papier pergaminowy. Na papier ten smaruje się następnie mieszaninę gipsu i trocin w stosunku 1 : 3 i po zaschnięciu trutki są gotowe do użycia.

Tak spreparowane jaja kładzie się najlepiej po 2—3 sztuki w imitowane gniazda blisko rowów, brzegów stawów, na miedze w koniczyniska, oziminy, na wierzch ogłowionych wierzb itp., znacząc sobie oczywiście, dla łatwiejszego odnalezienia gniazd, miejsca, w których wyłożono zatrute jaja. Zatrute ptaki codziennie trzeba zbierać.

W maju oraz czerwcu rozpoczyna się czas koszenia traw na łąkach oraz koniczyn w polach, przy czym gniazda z bażantami i kuropatwami ulegają zniszczeniu. By zapobiec temu, już przedtem należy na terenach tych przedsiębrać poszukiwania z wyżłem, celem wykrycia znajdujących się tam gniazd. Miejsca te trzeba poznaczyć, by nie zostały wykoszone. Niewykoszone miejsca z gniazdami należy pozostawić niezbyt małe, około 2,5 × 2,5 metra, mniejsze bowiem powierzchnie nie dają dostatecznej ochrony. Dobrze również jest przykryć gniazda te dla ochrony gałęziami głogu lub innymi kolczastymi gałęziami, gdyż w niewykoszonych kępach lubią gromadzić się żaby (wilgoć!), co jest powodem, że niewykoszone miejsca chętnie odwiedzają bociany. Przy tej sposobności może paść ofiarą niejedno niezabezpieczone gniazdo.

Bardzo mało zwraca się uwagi również i na kanie, które także niszczą jaja ptaków łownych. Najszkodliwszy jest błotniak stawowy i to dlatego, że rejon jego polowań nie jest zbyt wielki. Rewiduje go zatem bardzo często i niemniej skrupulatnie.

Tyle co do skrzydlatych szkodników, a teraz nieco jeszcze o największym smakoszu jaj wśród czworonożnych zwierząt — o borsuku. Tam, gdzie mają się rozmnażać głuszce, borsuków winno być jak najmniej, a tam gdzie pragnie się założyć bażantarnię, względnie wysadzić bażanty do łowiska, winno być hasłem — albo bażanty, albo borsuki.

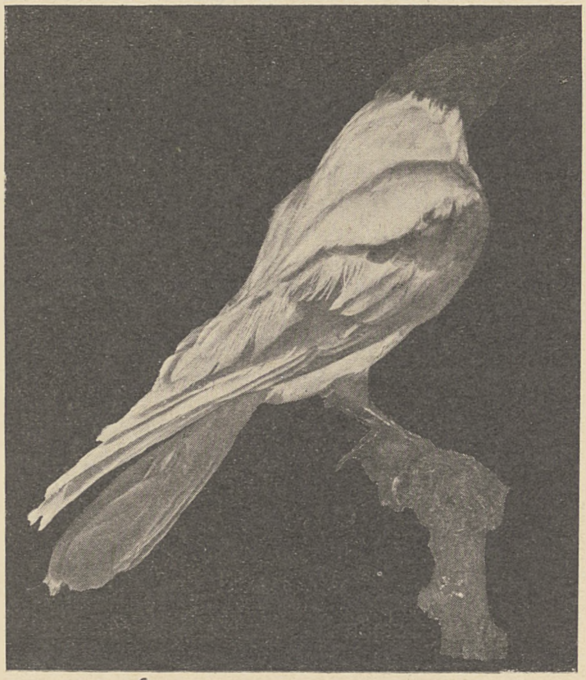
Wbrew ogólnemu przekonaniu o zanikaniu borsuków można twierdzić, że borsuków w łowiskach naszych jest coraz więcej.

Twierdzenie, że borsuków jest coraz mniej, oparte jest na tajemniczym trybie ich życia. Zasadniczo rzadko spotyka się borsuka. Najczęściej widuje się go rano o brzasku, względnie jeszcze przed brzaskiem, wracającego śpiesznie do nory (i to głównie latem, tzn. w czasie ochronnym). Obecność i przypuszczalną ilość borsuków w łowisku łatwo można stwierdzić i ustalić, według charakterystycznych „miniaturowych śladów niedźwiedzich“ z wyraźnie odznaczającymi się w ziemi poduszkami i długimi pazurami.

Nie można zaprzeczyć, że borsuk jest z pewnych względów pożyteczny. Ileż zjada on „jako wszystkożerny“ pędraków, podczas swych nocnych wędrówek, ileż poczwarek, strzygoni i innych szkodników leśnych, gnieżdżących się na ziemi! Kto obserwował skrupulatność borsuka, z jaką wertuje każdy listek, przegląda każde wywyższenie, każdy krzew, ten dojdzie do przekonania, że borsuk znajdzie każde i jak najlepiej ukryte gniazdo. W tej właśnie systematyczności i skrupulatności w poszukiwaniach tkwi duża szkodliwość borsuków dla lęgów ptaków łownych i dlatego też uważać należy go za groźnego szkodnika ptaków, gnieżdżących się na ziemi i dbać o to, by zbytnio nie rozmnożył się w łowisku.

Również łasiczki, tchórze, kamionki i tumaki, a nawet wiewiórki, bardzo szkodzą w łowisku, szczególnie wiosną podczas lęgów ptaków łownych i tam gdzie szkody te są zbyt wielkie, należy starać się o zmniejszenie ilości tych szkodników.

Dr inż. Leon Ossowski



Biała wrona (forma częściowego albinizmu) upolowana w listopadzie 1937 r. w maj. Bodzewko, pow. gostyński, przez p. Prota Gałdyńskiego.

Wronę tą widywano już w okolicy od kilkunastu lat. Odznaczała się dużą ostrożnością. Przesiadywała często nad stawami, trzymając się jednak zawsze w pobliżu stada.

PP. Myśliwych prosimy od nadsyłanie do Redakcji wszelkich własnych ciekawych spostrzeżeń, celem podzielenia się tymi spostrzeżeniami z Czytelnikami „Myśliwego“.

SILNY JELEŃ

Na początku sezonu myśliwskiego (wrzesień 1937 r.) wszystkich nemrodów okolicy zelektryzowała wiadomość o pojawieniu się jakiegoś nadzwyczajnego jelenia — wieść, która krąży uporczywie zazwyczaj wszędzie tam, gdzie na rykowisko przywędrują z dalekich stron stare byki.

Gdy 19 września przyjechałem do mego łowiska w Borach Tucholskich, w leśnictwie Lnianek, każdy z okolicznych myśliwych witając mnie, opowiadał o tym jeleniu, przy czym równocześnie zapewniał mnie, że właśnie on a nie kto inny go zastrzeli. Mocno zaintrygowany zapytałem: a kto właściwie widział tego jelenia, jego wieniec?! Na to pytanie następowała konsternacja, po czym krótkie milczenie a w końcu wybuch: „ależ panie, czy pan widział te tropy? — coś fantastycznego!". Przy pierwszym pobycie w kniei, natknąłem się na „jego" trop, odciski racic ogromne, jak to bywa u najstarszego byka, szczególnie tylne, które normalnie pozostawiają odciski mniejsze, w tym wypadku wykazywały mocno zaokrąglone, szerokie i silnie rozwarte. Dobrze sobie zapamiętałem ten trop i odtąd śledząc codziennie za jeleniami stwierdziłem, że tropy „jego" można było spotkać wszędzie a nawet w tych oddziałach, gdzie jelenie nie koczowały. Był to zatem trop jelenia typowego samotnika, unikającego licznego towarzystwa łań i trabantów-byków.

Nastąpiło rykowisko i to w tej samej drągowinie, gdzie w ubiegłym sezonie. Nurtowała we mnie stale myśl, czy pojawi się tam również ten przez wszystkich myśliwych upragniony byk. Wszędzie go było pełno a jednak dla nas był tylko duchem wyobraźni.

Gdy pewnego poranku przed świtem podchodziłem dobrze mi znanymi ścieżkami, pod wiatr do owych drągowin, przywitał mnie z dala krótki gruby poryk jelenia, straszny zgiełk w ostępie i trzaskanina wieńcem o gałęzie. Przeczucie mówiło mi, że tutaj dzierży władze „on". W wyobraźni widziałem jego szeroko rozwarty wieniec. Serce zabiło mi w szybszym tempie. Stanąłem na przesmyku. W drodze powrotnej do dziennej ostoi tylko tędy mogą przejść jelenie. Długo czekałem, zdawało mi się, że całą wieczność. Krótko przed świtem wszystko ucichło. Długie chwile mijały — na próżno. O świcie stwierdziłem, że chmara jeleni przeszła niespostrzeżenie na lewo ode mnie, a śród tropów stwierdziłem również znane mi odciski racic „jego". Zatem nie myliłem się. Ów wszystkim znany, lecz dotychczas niewidzialny jeleń przybył na rykowisko. Na dzisiaj przepadło — lekko rozczarowany powróciłem do domu. Następnej nocy rykowiska nie było. Wskutek ogólnego ocieplenia wszystko wskazywało na to, że rykowisko uległo przerwaniu, w dodatku czas mój wolny się kończył i trzeba było powracać do miasta do swoich obowiązków.

Gdy po krótkiej przerwie zjechałem do ulubionego łowiska leśniczy zameldował mi, że jelenie znowu co noc powracają do wiadomych drągowin. Udałem się więc nazajutrz jeszcze het przed świtem na moje stare stanowisko. Jelenie w drodze powrotnej muszą według wszelkiej rachuby przejść koło mnie. Przybywszy na miejsce przywitał mnie znowu ten sam zgiełk, jaki jelenie robią w czasie rykowiska we wieczystej gonitwie w spędzaniu łań i odpędzaniu byków-trabantów. Wiatr miałem korzystny, więc czekałem — zresztą nie długo. Zaczęło świtać, w ostępie jeszcze ruch, dzisiaj „on" mi nie ujdzie. W tym momencie na pagórek tuż przede mną wyskoczył jeleń-byk-dwunastak. Ledwo go zobaczyłem, a już pomknął w panicznym strachu przed siebie. Za nim przesunęło się osiem łań wszystkie w dużym popłochu. Co mogło być powodem tego zaniepokojenia?! Na pagórku ukazuje się nowa sztuka. Przystaje na chwilę. Przez lornetkę widzę byka o jednej tyce, o silnym głębokim przodzie a słabym tułowiu. To szydlarz-morderca, sprawca rozbicia tegorocznego rykowiska. Stał krótko, nim się zorientowałem, popędził za chmarą — swoim haremem i niepokojącym go rywalem. W tej małej chwili zdawało mi się, że byk lekko utykał, nie zdążyłem jednak stwierdzić, czy na przedni czy też na tylny badyl. Poszedłem w miejsce kędy przeszły jelenie. Odciski racic ostatniej sztuki, to właśnie trop tego tak długo poszukiwanego byka. Nie ulegało już teraz żadnej wątpliwości, że jeleń ten o jednej tyce jest tym przez wszystkich okolicznych nemrodów tak upragnionym bykiem. Okazało się jednak, że zamiast szeroko rozwartego wieńca nosi tykę szydlarza, najniebezpieczniejszą broń w okresie rykowiska. Strzał do tego jelenia stał się obecnie dla mnie punktem honoru i ambicji myśliwskiej.

Powróciłem do cichej leśniczówki, gdzie u samego progu spotykam leśniczego, któremu opowiadam całe zajście. „A czy nie przypomina sobie pan major, że już przed dwoma laty opowiadałem, że przecież spotykałem w rewirze jelenia o jednej tyce?"! Przypomniałem sobie. Prawdopodobnie był to zatem ten sam jeleń. Codziennie go teraz śledziłem, ale okazało się, że dawał on u mnie tylko gościnne występy i że przeniósł się do sąsiedniego rewiru, o czym wkrótce donieśli mi sąsiedzi — myśliwi.

I znowu trzeba było powracać do zadymionego szarego miasta. Rozczarowany i ze smutkiem opuszczałem łowisko, nie udało mi się bowiem odstrzelić „jego". Jedyna pociecha, że w tym czasie strzeliłem innego byka, co prawda selekcyjnego, ale znanego mi od dawna „wiecznego ósmaka" o krótkim a grubym wieńcu.

Do łowiska powróciłem dopiero w listopadzie. Zaraz na wstępie opowiada mi leśniczy, że „on" u nas koczuje. Idziemy do cichej kniei. Środkiem pasa ogniowego pełno starych i świeżych tropów słynnego „silnego byka". Widocznie przechodził on tutaj codziennie na pobliską świeżą oziminę. Wracamy. Jednakże już około godz. 15 wyruszyłem na wiadomy przesmyk. Dzisiaj musi ten je-

leń paść na owym pasie przeciw-ogniowym. Na stanowisko jest tak blisko, że nie ma się co spieszyć. Dochodząc do brzegu zagajnika spostrzegam jakiegoś jelenia. Idzie wolno utartym przesmykiem. Biorę lornetkę, tak! to „on“! o jednej tyce

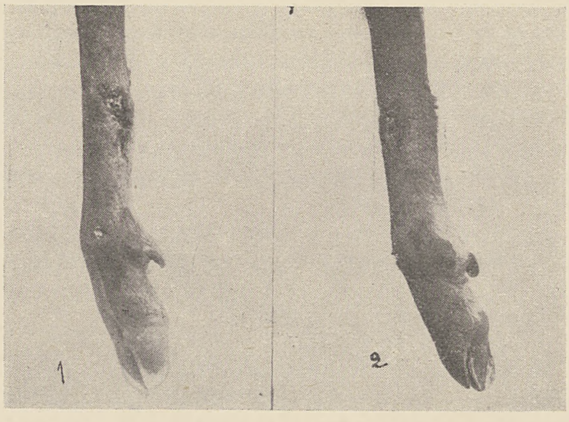


— kulawy. Opieram sztucer o pobliską sosnę i suchy trzask strzału sztucerowego przecina ciszę leśną. Jeleń uchodzi w silnym tempie, jednakże nie daleko, zaledwie po kilku susach pada nieżywy. Strzał w płuca powoduje przy obecnych pociskach szybką śmierć. Stanąłem przed obiektem mych marzeń łowieckich, oglądając wieniec. Prawa strona widłak o długiej szerokiej tyce szydlarza, który dzięki tej broni mógł pokonać nawet tak silnego dwunastaka, jak to wówczas widziałem i rozbić mi przez to tak dobrze zapowiadające się rykowisko, lewa strona widłak o bardzo krótkiej i niedorozwiniętej tyce, podanej do przodu. Sądząc według Raesfelda „Das Rotwild“ jeleń musiał być ranny w prawy tylny badyl. Badania podjęte przeze mnie dały następujące wyniki. Znalazłem ranę ropiejącą na prawym tylnym badylu oraz ścierki i róg racicy wytarty na biało (fot. 1). Przewieziony do domu jeleń ważył po wypatroszeniu bez wieńca 125 kg. Waga jak na tamtejsze stosunki słaba. Według uzębienia mógł on liczyć 8 do 10 lat. Zatem musiały tu zachodzić inne przyczyny zniekształcenia i niedorozwoju wieńca.

Przesłałem zatem wieniec i chory badyl do Zakładu Łowiectwa przy Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego do zbadania. Jak już zaznaczyłem, przypuszczałem początkowo sądząc według Raesfelda, że niedorozwój względnie zniekształcenie lewego pnia powstało skutkiem uszkodzenia okostnej względnie złamania kości, wskutek postrzału prawego tylnego badyla. Pomimo iż w swojej książce (str. 126—127) Raesfeld wbrew twierdzeniu innych badaczy zasadniczo nie uznaje wpływu zranienia jak np. w tym wypadku prawego badyla, na rozwój tyki po odwrotnej tj. lewej stronie, to jednak powyższy przypadek jest jednym z tych przykładów, że wpływ taki jednak istnieje. Jako powód zniekształcenia wieńca w podobnych wypadkach Raesfeld podaje ograniczenie możliwości prawidłowego i swobodnego poruszania się (als Folge der durch Lahmheit gestörten Bewegungsmechanik). Co się tyczy skręcenia zniekształconej tyki do przodu, to preparatorzy na mocy własnych nieraz długoletnich obserwacyj twierdzą, że przy zranieniu przedniego badyla, koniec tyki po odwrotnej stronie jest podany do tyłu, natomiast przy zranieniu tylnego badyla na odwrót do przodu, co by tutaj miało swoje potwierdzenie.

W Zakładzie Łowieckim przy zewnętrznym badaniu znaleziono ranę ropiejącą oraz kilka obcierek na badylu. Racice tego badyla wykazywały wyraźnie, że jeleń nie stąpał na ten badyl całym ciężarem, gdyż róg po bokach racicy narósł o około 1,5 cm wskutek nieścierania, jak przy normalnym chodzeniu (fot. 2).

Po zmacerowaniu badyla okazało się, że części kostne były zupełnie normalnie rozwinięte i nie wykazywały żadnego uszkodzenia. Wobec tego należy przyjąć, że ropiejąca rana i obcierki powstały na pewno przy potykaniu się jelenia, które sam zaobserwowałem u tego byka. Wyglądało to tak, jak gdyby niedowładał tym badylem, stawiał racice prawie pionowo, przy czym się palce roz-



wierały i pozostawał trop nienormalnie szeroki i rozwarty. Oczywiście wskutek takiego stawiania racicy potykał się i powłóczył badylem, co było szczególnie widocznym na lotnym piasku. Na miejscach porośniętych mchem, wydzierał przy tym kępki mchu.

Poniżej podaję ocenę dra Schechtla, prof. U. P.:

„Moim zdaniem, orientując się z konieczności tylko po możdżeniach, wobec braku zębów, cho-

dzi tu o byka dorosłego, ale jeszcze nie tak starego, aby wieniec był uwsteczniony z tego powodu. Raczej jest to wieniec niedorozwinięty względnie patologiczny z powodu choroby, której skutkiem jest też niedowład czy porażenie badyla. Może tu chodzi o skutki Trypanosomiazy? Tym bardziej bym to podejrzewał, gdyby się takie sztuki jeszcze w rewirze pokazały (z porażeniami)"!

W ten sposób legenda o tajemniczym „silnym" byku doznała wyjaśnienia. *Stefan Łukowicz*

PRZY KSIĘŻYCU

Przeżycia myśliwskie mają w sobie urok wspomień z lat minionych. W różnych okolicznościach życiowych stają nam przed oczyma. Są wesołe lub smutne, często w swym przebiegu niejasne, tajemnicze, spowite przypadkowością i czarem niezbadanych praw przyrody. Jednak zawsze są pouczające, z nich bowiem kształtuje się doświadczenie i wytrawność dojrzałego myśliwego. Należą do rzędu tych, co to się nie powtarzają, — i w tym leży głównie ich urok i czar.

Ileż to ciekawych takich zdarzeń ginie w zapomnieniu? Krążą najwyżej w szczupłym gronie myśliwych przez pewien czas, nieraz do łez rozśmieszając lub zmuszając do poważniejszej refleksji, potem przepadają bezpowrotnie! Gdyby tak myśliwi ku nauce własnej i pożytkowi przyszłych pokoleń, a zapewne ku żywemu zadowoleniu i redaktorów chudej naszej prasy łowieckiej, zechcieli nie lenić się i w wolnych chwilach chwycić czasem za pióro!... Możeby tak Szan. Redakcja otworzyła swe łamy na ten cel i wystąpiła z apelem, by każdy myśliwy uważał za swój obowiązek utrwalić jedno lub kilka ze swych najciekawszych zdarzeń łowieckich? Ku nauce lub radości serc drużyny św. Huberta! Wszak ich nikomu z nas nie brakuje!...

W opowiadaniach myśliwskich jest przysłowiowo dużo przesady i podobno po prostu dużo blagi. My myśliwi nie będziemy o to kruszyć kopij, bo wiemy, że co innego poważne studium naukowe, a co innego opowiadanie przeżyć. Wiadomo, że nawet facecje i żarty myśliwskie muszą być echem faktycznych zdarzeń, gdyż najbujniejsza fantazja człowiecza jest uboższa od bogatych możliwości życia. Pewna koloryzacja jest tu tylko często pożądanym ornamentem...

Po tym wstępie, prosząc Szan. Czytelników spod naszego znaku o wyrozumiałość, inauguruję jedno takie opowiadanie i ręczę za jego prawie stuprocentową prawdziwość.

A rzecz miała się tak:...

Byłem już wtedy prawie przed maturą, gdy po śmierci ojca odziedziczyłem teren łowiecki. Na święta Bożego Narodzenia, zwyczajem od wielu lat stosowanym, posyłało się proboszczowi dwa zające. Matka przypomniała mi tę tradycję i wezwała do jej zachowania. Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać i ochoczo ruszyłem na łowy systemem deptakowym. System ten niezmiernie lubiłem i jeszcze dziś nie łatwo bym się z nim rozstał, pomimo dyskusji i krytyki, jaką obecnie wywołuje. Są głosy za, ale przeważają opinie przeciw. Jednym słowem dużo słów, badań i zestawień, a zajęcy coraz mniej. Może dlatego, że ludzie wypierają zwierzynę i więcej jest teraz niż dawniej wnyków i zachłannego kłusownictwa. A na to już wiele system polowania nie pomoże. W każdym razie nie ma treściwszej rozkoszy myśliwskiej, jak samotnie z wiernym psem, bez przeszkody hałaśliwych towarzyszy studiować tajniki przyrody i zgłębiać łowieckie rzemiosło. Zima owego roku rozparła się tęga i — mimo że zajęcy było dość — przez parę dni z rzędu błąkałem się bezskutecznie po zaśnieżonych polach wśród zamieci i mrozu. Nie mogłem jakoś po prostu dojść do strzału, choć wobec zbliżającego się terminu dostawy, zacząłem już wzdychać do pomocy niebieskiej, jako że chodziło o zające dla plebana, a więc o pomnożenie chwały Bożej... W dodatku moja młoda reputacja łowiecka podległa w domu sceptycznej ocenie. Zauważyłem, że najwięcej tropów zajęczych jest w zagajach nad rzeką i gwoli osiągnięcia celu za wszelką cenę, postanowiłem spróbować szczęścia na zasiadce przy księżycu. Tak samo w tej sytuacji radził mi sąsiad, wielki i namiętny myśliwy, późniejszy mój kompan serdeczny wielu wypraw łowieckich. Wybrałem się więc w jasną noc księżycową i stanąłem pod upatrzoną za dnia jeszcze topolą. Przede mną rozpościerała się łączka, dalej w przód i w tył ciągnęły się łachy nadbrzeżnych wiklin z pojedynczymi wysokimi drzewami. W powietrzu była mroźna cisza, a nade mną księżyc w pełni i gwiazdami wyiskrzone niebo. Wydeptałem w śniegu stoisko i oparłszy się o pień rozłożystej topoli, zastygłem w oczekiwaniu i zadumie... Zapragnąłem bez reszty rozwiązać problem, czy myślistwo jest sportem czy zabawą i właśniem skłaniał się do sądu, że jest przede wszystkim marznięciem lub dla odmiany moknięciem, gdy zelektryzowała mię pierwsza na bieli śniegowej rysująca się kreska. Kresek tych wciąż przybywało, przecinały się wzajemnie, zamieniały w łuki i zygzaki, zbliżały się i oddalały. Właśnie jedna z nich... biegnie z ukosa, urywa się nagle i opodal zamienia w formę dużej i ruchliwej kropki. Uważam odległość za dobrą i strzelam mierząc uważnie. Gwałtowny łomot poprzez dotąd w uszach dźwięczącą ciszę niesie się wiklinami i falami Olzy, odbija się od wzgórz zaolzańskiego Śląska i powraca echem. Kropka zamienia się w wykrzyknik i nieruchomieje. Strzelam powtórnie — wykrzyknik trwa w bezruchu. Nabijam pośpiesznie broń i postąpiwszy kilkanaście kroków, widzę dokładnie na tle śniegu, że zając stoi słupka. Wobec tego grzmię jeszcze raz i drugi. Lecz zając ani nie pada ani nie ucieka... Ładuję znowu

strzelbę i zbliżywszy się jeszcze nieco, stwierdzam wyraźnie, że szarak stoi jak mur i nawet rusza głową. Palę więc po raz piąty w tę głowę! Gdy uparta stwora ani nie drgnęła ani nie zmieniła pozycji, poczułem pierwszy raz w życiu, że włosy mi



stają na głowie dęba! Bądź co bądź jest blisko północ, a ja tu wśród śniegów i rozległych pól, z dala od sadyb i ludzi... sam wobec jakichś nieczystych sił!!!... Ta druga moja natura wydała szybką komendę: „Uciekaj“, lecz ta myśliwska, choć z trudem, oparła się temu. Zawsze to nabita strzelba w ręku jest pewnym awansem, nawet przeciw mocom diabelskim!

To, com zobaczył podszedłszy do mego celu, zgniewało mię i rozśmieszyło. Oto zając padając martwy po pierwszym strzale, zahaczył głową o widlasty korzeń pniaka pozostawionego po wiatrem obalonym kiedyś drzewie i w widłach tych zawisnął. Na wszystko pokrywającym śnieżnym kobiercu dawało to łudzący obraz zająca zdrowego, stojącego słupka. Po tym przejściu obtarłem rzęsisty pot z czoła i rezygnując z dalszych trofeów, wątpliwych zresztą wobec urządzonej kanonady, zdjąłem z korzenia nieszczęśliwe zwłoki i poszedłem do domu. Właściwie nie było co nieść, bo zając nie miał jednej kości całej, ale przynajmniej — myślę sobie — psy będą miały pociechę. Zawiesiłem zająca na werandzie i poszedłem spać. Nazajutrz widzę, że mój zając zmarzłszy, jest wprawdzie od śrutu przeciężki, ale ostatecznie przedstawia się dość przystojnie. Nie było rady!.. Chcąc uczynić zadość tradycji i ratować swoją reputację, posłałem go proboszczowi... I odtąd go omijałem, ale gdy w kilka tygodni potem natknąłem się nań na rynku w Cieszynie, z miejsca nawymyślał mi od rzeźników, bo — powiada — tego pańskiego zająca gospodyni obielić nie mogła i z powodu pomieszania mięsa z turzycą pies go nawet żreć nie chciał...

Koniec historii!... Nie ma już dziś i śladu po drużbie... I osoby drogie w zdarzeniu tym pośredni udział biorące, dawno odeszły w krainę wiecznych łowów...

Wspomnienia są jak sny — o przeżyciach, które się już nie wrócą...

Katowice, w styczniu 1938.

Inż. dr Jan Podgórny

CO MNIE ZACIEKAWIŁO Z BALISTYKI W BERLINIE

Sukces polski, osiągnięty na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie, wywołał entuzjastyczne wzmianki nie tylko w całej prasie łowieckiej — ale i codziennej.

Nie będę już opisywał całej wystawy oraz uzyskanych nagród, bo dzisiaj są to sprawy znane. Jeżeli mimo to zabieram głos, to w tym celu, by z kolegami-myśliwymi podzielić się spostrzeżeniami, poczynionymi w dziale broni i amunicji na tej wystawie, ponieważ dział ten nie został w artykułach, które dotychczas się ukazały, dosyć uwypuklony.

Zapewne myśliwych polskich zainteresują dwa wynalazki w dziedzinie broni myśliwskiej. Pokazano mi jako nowość w dziedzinie broni rodzaj trójlufek z czwartą lufą małokalibrową. Lufkę tę umieszcza się pod szyną, względnie poniżej luf śrutowych ponad normalną lufą sztucerową. Broń jest lżejsza od normalnej trójlufki, ponieważ miejsce metalu spajającego wypełnia lufka. Na oko broń ta wygląda wspaniale, czy jednak przy tak skomplikowanym mechaniźmie wytrzyma egzamin w praktyce? Okaże się to w przyszłości!

Dalszą nowością jest lufka do naboi małokalibrowych, którą można bez specjalnych urządzeń wkładać do zwyczajnej śrutówki i w niej automatycznie przymocować. Co prawda jeszcze wiele lat przed wojną znaliśmy taki wynalazek, lecz była to ciężka lufa, która wypełniała całą długość lufy śrutowej i z powodu nadmiernej wagi okazała się w praktyce nie do użycia. Strzał z niej był również niedokładny. Obecnie wystawiona lufa waży od 220 do 280 g. Na szynie umieszcza się mały wizjer do podnoszenia albo lunetkę z boku szyny. Zastosowanie takiej lufki małokalibrowej ułatwiałoby racjonalny trening strzelca ze względu na zmniejszone koszty treningu.

Największą jednak satysfakcję sprawiła mi wizyta w dziale amunicji. Spędziłem tam dłuższy czas w rozmowach z przedstawicielami najpoważniejszych firm niemieckich, którzy pokazali mi przeróżne przekroje naboi kulowych i śrutowych oraz różne rodzaje prochów.

W toku rozmowy temat zszedł na prochy polskie. Tutaj dowiedziałem się, co muszę z dumą podkreślić, że proch „Sokół“, wyrobu Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach jest na rynku niemieckim dobrze znany i według oceny niemieckich fachowców nie tylko dorównuje najlepszym

prochom niemieckim, ale może nawet je przewyższa ze względu na stosowanie lepszego surowca.

Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach należy się uznanie za wysiłki w kierunku udoskonalenia produkcji prochów myśliwskich, które zdobyły sobie pełne zaufanie myśliwych polskich i jak się okazuje bardzo dodatnią ocenę za granicą.

Dobrze byłoby, gdyby polskie fabryki amunicji myśliwskiej w swojej produkcji doszły do takich samych rezultatów, zwłaszcza, jeżeli chodzi o spłonki.

O ile mi jednak wiadomo, jedna z krajowych firm uzyskała w fabrykacji spłonek dobre wyniki i należy się spodziewać, że w niedługim czasie będziemy mieli pełnowartościową amunicję myśliwską, wyrobu krajowego, przez co uniezależnimy się w zupełności w tej dziedzinie od zagranicy.

Tad. Metzig, em. nadleśn. państw.

NAGRODY NA WYSTAWIE GRAFIKI MYŚLIWSKIEJ

Komisja nagród na posiedzeniu odbytym w dniu 10 bm. uchwaliła przyznać następujące nagrody artystom - grafikom biorącym udział w powyższej wystawie.

1. I nagroda Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie 300,— zł p. Jarosławowi Kirilence — Warszawa.
2. Nagroda mec. Stefana Osmólskiego 300,— zł p. Stanisławowi Ostoja - Chrostowskiemu — Warszawa.
3. II nagroda Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie 200,— zł p. Zofii Elżbiecie Fijałkowskiej — Warszawa.
4. Nagroda Wojewódzkiej Rady Łowieckiej 200,— zł p. Władysławowi Żurawskiemu — Sokal.
5. Nagroda Starostwa Krajowego w Poznaniu 200,— zł p. Stefanowi Mrożewskiemu — Warszawa.
6. Nagroda ks. Olgierda Czartoryskiego 100,— zł pp. Józefowi Paskulskiemu i Andrzejowi Rudzińskiemu za teką pt. „Łowy“ (IV księga „Pana Tadeusza“).
7. Nagroda Prezydenta Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego Józefa Żychlińskiego 100,— zł p. Zygmuntowi Acedańskiemu — Lwów.
8. Nagroda Zdzisława Orłowskiego w Poznaniu 100,— zł p. Adamowi Bunschowi — Bielsko.
9. Nagroda radcy Jana Kajewskiego (Chemiczna Fabryka dawn. „Blask“) 100,— zł p. Medardowi Świtkowi — Poznań.
10. Nagroda Firmy „Stomil“ 100,— zł p. Tadeuszowi Lipskiemu — Poznań.
11. Nagroda Wielkopolskiej Izby Rolniczej 50,— zł p. Antoniemu Serbeńskiemu — Ostrzeszów.
12. Nagroda anonimowa 50,— zł p. Krystynie Wróblewskiej — Wilno.

Poza tym ustalono spis artystów zasługujących na nagrody w formie pobytu na wsi ufundowane przez pp. ppłk. Konstantego Chłapowskiego, Ordynata Zygmunta hr. Skórzewskiego, dra Krzysztofa Wizego, inż. leśn. Stanisława Woszczyńskiego.

Z POLA I KNIEI

Przygoda dzikiego królika. Słońce było już w drugiej połowie całodziennej swej wędrówki i za ścianą ciemnego boru sosnowego z wolna chyliło się ku zachodowi. Z wysokiej suchej trawy, tuż spod nosa mojej młodej jamniczki, wyrwał się królik i ogromnie przerażony wcisnął omyk na grzbiet i cały ufając swym rączym skokom, co tchu dał nura w najbliższej norze na skraju gęstego zagajnika. Niezadowolenie swoje z tego przykrego spotkania dobitnie okazał przez dłuższy czas donioslym tupaniem, jakie spod ziemi głucho dochodziło naszych uszu. „Myszka“ naturalnie w mig do nory, lecz hola! mój piesku nie trzeba straszyć, nie wolno! . . .

Ukryłem w pobliżu aparat fotograficzny, dokładnie zamaskowany zielenią, sprawdziłem ostrość, sam zasiadłem w pobliżu w tak dogodny sposób, abym przez szkło dokładnie mógł widzieć wylot nory. Po chwili „Myszka“ bardzo niezadowolona, zaczęła się niepokoić i nie chce siedzieć przy nodze — musiałem jej więc po cichu zagrozić i troszkę zwymyślać! Siadała zaraz na tylnich nóżkach podwijając swój cienki ogonek pod siebie i trzęsła się cała z emocji, a mądrymi swoimi oczami raz po raz wpatrywała się we mnie i jakby chciała mi powiedzieć: O tyranie! Nie wyrozumiesz mojego wścibskiego temperamentu łowieckiego — przecież jestem młodą jamniczką. I dlatego cichaczem wymkłam się przeze mnie jedynie znanym wyjściem pod płotem ogrodu leśniczówki, aby podążyć za twoim śladem, odszukać cię w lesie i trochę pohasać . . .

Nic nie pomogły jakiekolwiek perswazje — „Myszkę“ musiałem zamknąć do plecaka i wówczas nastąpił dopiero należyty spokój i cichuteńko czekałem co będzie dalej. Mimo spóźnionej pory dnia, było jeszcze parno. Słońce słało ostatnie snopy obfitego światła, co najzupełniej wystarczało do naświetlenia zdjęć migowych. Chwila za chwilą uchodziła i mała sikorka, która w pobliskiej dziupli starego, zmurszałego pnia sosny, wylęgła kilkoro piskląt, już po raz dziesiąty może wraca z gąsieniczką dla swoich małych żarłoków. W pobliżu dzięcioł rozbija suchy konar w poszukiwaniu za larwami a kukułka jeszcze z zapałem kuka, tylko wilga w pobliskiej dębinie bardzo się

sroży... Wtem w szkłach mojej lornetki pokazał się królik u wylotu nory, siedzi sobie cichutko i bada uważnie otoczenie, mając jeszcze zapewne w pamięci przykry wypadek spotkania się z jamniczką z pobliskiej leśniczówki. Na pewno wymyśla tam



Fot. Antoni Wiśniewski

...Siedzi i uważnie bada otoczenie

niemało, bo proszę sobie wyobrazić, jest to przecież — jego zdaniem — smutny objaw częstego włóczęgostwa wszelkiej psiarni pobliskiego leśniczego... Ale nie pozwoliłem mu na takie rozczulanie się i cichutko włączyłem prąd a obiektyw uchwycił na płytę obrazek, na jaki był nastawiony. Lekki szmer spadającej migawki zaintrygował go i jeszcze uważniej począł badać najbliższe otoczenie — w końcu było mu tego wszystkiego za wiele i pośpiesznie czmychnął z powrotem do nory. *Antoni Wiśniewski*

Dziwne zachowanie się królika po strzale. Niedawno temu strzelałem do siedzącego królika na odległość około 75 m z sztucerka 5,6×35. Po strzale królik nie ruszył się. Sądziłem, że chybiłem. Strzeliłem powtórnie i królik zaczął uciekać. Za królikiem posłałem dla pewności wyżła, który mi po chwili króliczka zaaportował. Pierwsza kula przebiła przednie skoki, druga kula utkwiła w wątrobie. Dziwnym jest, że królik po pierwszym zranieniu się nie ruszył. *Inż. R.*

Królik — bastard. Dnia 2 lutego br. ubiłem w Nadleśnictwie Hel królika samca o rozmiarach dotąd niespotkanych przeze mnie, mimo, że na sumieniu ciąży mi kilka setek królików. Wymiary jego są następujące: długość od noska do nasady omyka = 51 cm, omyk 9,3 cm, długość głowy od noska do nasady czaszki = 9,8 cm, głowa podłużna i garbata — podobna do zajęczej, — długość tylnich skoków 29,5 cm mierzone od końca stópki do kręgosłupa, przednie mniej dokładnie mierzone z powodu połamania ich w kilku miejscach przy strzale ± 21 cm, słuchy długie 10,7 cm, przy czym końce na długości 0,7 cm czarne. Smuż całkowicie jak u królika, waga po ubiciu = 2,68 kg. Ogółem waga cięższa, skoki dłuższe niż królicze lecz mniejsze jak u zająca, łeb zajęczy, słuchy królicze lecz czarno zakończone.

Wobec powyższego zwracam się do Szan. Redakcji z zapytaniem, czy może zaistnieć wypadek skrzyżowania się zająca z królikiem.

Nasunęła mi się ta myśl z tego powodu, że stwierdziłem w czasie polowań i także przy odstrzale pojedynczych sztuk, że około 90% odstrzelonych zajęcy jest samcami a tylko 10% samic. Anormalny ten stosunek można wytłumaczyć. Jest faktem, że w czasie polowań — obojętnie jak wykonanych — w pierwszym rzędzie padały samice — samce natomiast, z natury ostrożniejsze, w większej części uchodziły cało; tak samo działo się widocznie i na półwyspie helskim. Ponieważ dopływ zajęcy tu z innych okolic jest prawie że niemożliwy, przeto nadszedł w końcu czas, że obecnie pozostała nieproporcjonalnie wielka ilość samców, w wyniku czego przypada ich teraz na jedną samicę po kilka sztuk. Odbiło się to — abstrahując od innych przyczyn (chorób) — katastrofalnie na rozmnoży; obecnie pada na polowaniu z nagonką po kilka zajęcy, podczas gdy około 1914 roku roczny odstrzał wynosił 112 sztuk.

Wobec tego przypuszczam, że młodsze względnie słabsze gachy w czasie parkotów zostają odpędzane od samic przez silniejsze a wskutek tego poczęły starać się pokrywać królice — co może niektórym się udawało — i że wymieniona na wstępie ubita sztuka jest właśnie takim bastardem. *J. Krzywoszyński*, Hel

Przyp. Redakcji. Krzyżówki pomiędzy zającami i królikami, aczkolwiek rzadko, to jednak są spotykane. Wywody autora mogą być słuszne.

Jeż szkodnikiem drobnej zwierzyny łownej. Po bezskutecznej zasiadce wieczornej, usłyszałem w drodze powrotnej głośne kniazienie zająca. Natychmiast zbadałem przyczynę głośnego krzyku i znalazłem jeża, który wgryzł się w zadnie skoki około 5-miesięcznego zajączka. Kiedy podniosłem zająca za słuchy, jeż nie puścił swej ofiary i pozwolił się unieść razem z zającem. Uwolniłem zająca i zabiłem jeża. *Leśniczy F. Olkowski,*

W parku, w którym zatrudniony jestem jako ogrodnik, hodowałem bażanty obrożne. Rok rocznie wychowało się około 40 bażantów młodych. W ubiegłych dwóch latach stan młodzieży zmniejszył się, pomimo, że w parku nie było ani kotów, wiewiórek, tchórzy itp. drapieżników. Nie mogłem dojść, dlaczego coraz mniej u mnie bażantów. Aż kiedyś wieczorem słyszę głośne gdakanie bażantów, w miejscu, gdzie znajdowało się gniazdo lęgowe. Dobiegłem — ale już za późno. W gnieździe siedział jeż i doszczętnie rozbił wszystkie jajka. Od tego czasu zacząłem tępić jeża. Przypuszczalnie w br. wylęgnie i wychowa się u mnie więcej młodych bażantów. *Józef Zima*

Czarne bociany. W nrze 3/37 „Myśliwego" był artykuł pt. „Czarne bociany" z dopiskiem, że Poznańczycy mogą bociany czarne czyli hajstry oglądać w „zoologu" w Poznaniu.



Na przechadzce Fot. A. Wiśniewski

Tymczasem mogę się z miłośnikami avifauny podzielić wiadomością, że tego rzadkiego ptaka zobaczyć można również w lasach Antonińskich a mianowicie w rew. Piec Górny. Stwierdziłem tam osobiście, że w latach 1936 i 1937 jedna para wywodziła 5 młodych. W latach 1925 i 1926 gnieździła się para hajstr w leśnictwie Błoto Nadleśnictwa Sieraków. *Stefan Górski*

Nie róbmy tego! Często spotyka się czy to u pracowników administracji leśnej, czy też u innych ludzi związanych z lasem i łowiectwem — młodą zwierzynę „na wychowaniu".

Czegoż tam wszystkiego się nie spotyka!

Sarny, zające, lisy, dziki, kawki, sroki, żórawie, bociany, jastrzębie, puszczyki itd. zależnie od miejsca i otoczenia.

Gdy się jednak nieco głębiej zastanowimy i sięgniemy pamięcią wstecz, to musimy przyznać, że z wszystkiej tej łownej zwierzyny wychowanej przy domu żadnego pożytku nie było; wszystko ginie jakoś tragicznie, pozostawiając jedynie na dnie serca wychowawców żal i gorycz, że cała praca, wszystkie troski i starania poszły na marne.

Ale musimy przyznać, że sami tu winę ponosimy, bo nie wolno zwierząt wyrywać z ich otoczenia naturalnego, do którego wchodzą przygotowane z wrodzonymi już, z pokolenia na pokolenie, przekazanymi doświadczeniami.

Czy to w polu czy też w lesie zwierzyna jest cząstką składową przedziwnej harmonii i równowagi, panującej w przyrodzie, — wyrwana zaś z tej społeczności i wychowywana przy domu natrafia na warunki, wobec których staje bezradną, bo i rozum i instynkt nie mogą podołać temu ogromowi nowości. Skutek jest taki, że zwierzyna zdobywa własne doświadczenie i generalizując ustosunkowanie się do niej najbliższego otoczenia, — pada ofiarą obcych, u których na podstawie dopiero co zdobytego doświadczenia nie mogła obawiać się uczuć wrogich.

Trudno odmówić przyjęcia zwierzątka od ofiarodawcy, który je zabrał, bo znalazł — „opuszczone".

Otóż opuszczoną młoda zwierzyna nigdy nie jest, dopóki jej nie dotknęła ręka ludzka — tylko wówczas może się zdarzyć, że matka nie pozwoli dostąpić młodemu, a sarna nawet bije cewkami — o tym musimy pamiętać, gdy zamierzamy znakować zwierzynę! Gdy zwierzyna znalazła się już w rękach ludzkich, naszym obowiązkiem jest przyjść jej z pomocą, bo wypuszczona z miejsca na wolność może zginąć z głodu. Ale i to jest najważniejsze — przyjść z pomocą, to nie znaczy wychowywać w oswojeniu, tylko dokarmiać, trzymając ją w warunkach najbardziej do naturalnych zbliżonych, aż do chwili jakiej takiej samodzielności i wówczas musimy się zdobyć na to, by zwierzyna powoli zdziczała. To będzie dla nas prawidziwą satysfakcją.

Znam wypadek, gdzie dzisiaj jeszcze po kilku latach, siuta wołana po imieniu, pasąca się zwykle na deputacie leśniczego, odrywa się od chmary i podchodzi na jakie 15 do 20 kroków do matki leśniczego, ale dalej — ani rusz.

Jak gdyby chciała powiedzieć: „pamiętam, coście dobrego dla mnie uczynili, — ale nas dzieli jednak przepaść nie do przebycia".

Tak, tylko człowiek (homo sapiens) wyróżnia się tym spośród wszelakiego stworzenia, że nie można się po nim spodziewać — wdzięczności! *Z. Ohl.*

Walka dzików. W lutym br. ubiłem odyńca trzyletniego. Po zdjęciu skóry znalazłem w okolicy komory pod skórą ułamaną część szabli dziczy. Rana nieco ropiała, jednakże pod gęstą szczeciną była niemal że niewidoczna. Z końcem stycznia ubiłem czteroletniego odyńca w tym samym łowisku, który miał złamane szable. Należy przypuszczać, że podczas huczki w bieżącym sezonie walczyły odyńce z sobą, a epilogiem tej walki było złamanie szabel przez silniejszą sztukę i pozostawienie pod skórą dzika słabszego. *Ulrych*

Pryszczyca rozszerza się u nas w sposób zastraszający. Nie tylko w południowo-zachodnich połaciach Rzeczypospolitej graniczących z Rzeszą Niemiecką, ale również osiedla północno-wschodnie na pograniczu Rzeszy, są terenem rozszerzania się pryszczycy. Co gorsze — powstał w środku Wielkopolski — w Fałkowie k. Gniezna nowy okręg zapowietrzony tą zarazą. Epilogiem tego jest, że m. i. zniesiono w powiatach zapowietrzonych całkowicie czas ochrony na wszelką zwierzy-

nę łowną. Nie będę wchodził w celowość tego zarządzenia, wspomnę tylko o notatce, która ukazała się w nrze 39/38 I. K. C. Sprawozdawca A. I. Chaniewski opisał rzekomy „chaos" i brak wyraźnych instrukcyj i silił się na nieudolne naśladowanie gwary ludowej. Lecz nie o to chodzi. A. I. Ch. pisze, że zarządzenie wybijania wszelkiej zwierzyny łownej wywołało niekłamaną radość wszystkich myśliwych, i że powiaty te są obecnie rajem dla myśliwych i gospodyń, które teraz uzupełniają luki w śpiżarniach itd.

Przypuszczalnie sprawa z tym rajem i radością myśliwych tak się nie przedstawia, jak pisze Szanowny Sprawozdawca, gdyż prawdopodobnie jako laik identyfikuje określenie myśliwy ze słowem strzelec, ścierwiarz, kłusownik lub jak kto chce. *Ol.*

Jak wykorzystać zwierzostany. Pod powyższym tytułem ogłasza inż. Knothe w nrze 4/38 „Łowca Polskiego" ciekawy artykuł, radząc dla powiększenia dochodowości z łowiectwa przejść do łowienia żywej zwierzyny i zużytkowania jej dla odświeżenia krwi.

Poza korzyściami materialnymi, wyszczególnionymi w artykule p. K. jest jeszcze inna korzyść, i to korzyść bezpośrednia dla samego łowiska. Otóż często słyszy się zdania, że np. podczas łowienia żywych zajęcy dewastuje się łowisko, wyławiając — zbyt wielką ilość zajęcy. Mniemanie takie jest zupełnie błędne i pozbawione wszelkiej rzeczowości. Udowodnić to łatwo na przykładzie. W łowisku X o pow. 500 ha strzelało się corocznie około 100 zajęcy. Zapomina się jednak przy tym, że dalsze 30 zajęcy zostaje obsypanych śrutem i zginie, nie odnalezionych później przez myśliwych. A zatem ubyło z łowiska 130 zajęcy. O ile natomiast złowi się równoważnik wyniku polowania tj. 100 zajęcy, wtenczas ma się absolutną pewność, że ubyło z łowiska jedynie 100 zajęcy.

W łowiskach, w których wyłącznie łowi się zające, stan ich poprawia się z roku na rok. Samo łowienie żywej zwierzyny nie jest takie trudne,



Sieci, gotowe do połowu

jak by się to zdawało. Zdrowe nogi i płuca, trochę praktyki, orientacji łowieckiej, a przede wszystkim zdyscyplinowany personel i naganiaczy (tych ostatnich bardzo dużo), to poza narzędziami, wszystko co potrzebne jest dla przeprowadzenia połowów. Koszt zakupu narzędzi do łowienia zamortyzuje się przy pewnej umiejętności łowienia już w pierwszym roku.

Jest jednak pewien mankament przy łowieniu żywych zajęcy. Otóż połowy rozpoczyna się zwykle około 12 wzgl. 26 stycznia w zależności od ustalenia czasów ochronnych dla szaraków. Wcześniej bowiem łowić nie można, gdyż odbiorcy ze zrozumiałych przyczyn, zastrzegają sobie dostawę po zamknięciu sezonu polowań na zające. —



Transport sieci z miotu do miotu

W czasie tym jednak, stan zajęcy i to szczególnie w leśnych kompleksach izolowanych, leżących pośród pól, został bardzo silnie zredukowany, tak że wyniki połowów są zazwyczaj słabsze.

Gdyby w łowiskach tych łowiono zające późną jesienią, natenczas wyniki połowów byłyby lepsze. Złowione zające należałoby wówczas przetrzymywać do stycznia w ogrodzeniu tzw. parkach zajęczych. Sądzę, że założenie parku zajęczego przy zbyciu rocznym około 1000 żywych zajęcy byłoby celowym i opłacalnym. Załączone fotografie przedstawiają fragmenty z połowów zajęczych na Pomorzu w leśnictwie Zajęczykąt (nomen — omen) a mianowicie transport sieci z miotu do miotu oraz sieci gotowe do „łowienia". *O.*

Pierwsze próby aklimatyzacji bażantów tenebrosus w Polsce. W kwietniu br. przeprowadzone zostaną pierwsze próby aklimatyzacji bażantów tzw. „tenebrosus" w Polsce. Bażanty te są większe od obrożnych oraz posiadają upierzenie barwy stalowo-łupkowej. Główną ich zaletą jest, że nie wędrują. Krzyżują się z bażantami obrożnymi i innymi.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu sprowadza 1, 2 (1 koguta i 2 kury) tych bażantów i wpuści je do rezerwatu maj. państwowego w Radzynie k. Grudziądza. Dalszy komplet sprowadza p. Zakrzewski z Majek k. Płocka.

Również zamierzają sprowadzić bażanty tenebrosus pp. T. Kochanowski z Montowa w powiecie lubawskim oraz A. Jeszke dla łowiska Ostrów Panieński niedaleko Chełmna n. W.

O wynikach aklimatyzacji i skrzyżowaniu się tenebrosus z innymi gatunkami bażantów, oraz o praktycznym znaczeniu tego krzyżowania napiszę w swoim czasie. *Myśliwy z Pomorza*

Atawizm? Posiadałem jamniczkę, niezbyt rasową, zato bardzo ciętą na drapieżniki. Suczka miała się oszczenić. Nagle znikła. Po dwóch dniach wraca, ale dziwnie chuda. Poszła do kuchni, gdzie ją nakarmiono. Oszczeniła się, ale gdzie? Tak, jak nagle się zjawiła, tak nagle znikła znowuż. W dniu następnym przyszła również. Bacznie ją obserwowałem, kiedy i dokąd zniknie. Wymknęła się i uciekła do pobliskiego lasku. Tam znikła mi nagle z oczu. W lasku była nora lisia. Na piasku przed norą spostrzegłem świeże ślady pieska. Przyłożyłem ucho do ziemi i usłyszałem skomlenie i piszczenie. Rozkopałem jamę i znalazłem w ślepym chodniku 5 szczeniaków-jamników. Wszystkie pieski wychowałem i na polowaniu będą jeszcze lepsze od matki. Dlaczego suka oszczeniła się w norze lisiej mimo, że w domu miała wygodne i ciepłe legowisko? *W. Rad,*

Wędrówki lisów. W lasach maj. Pruskałąka w powiecie wąbrzeskim wypuścił p. R. Kentzer 5 znakowanych młodych lisów, wychowanych w zwierzyńcu. W kilka dni po wypuszczeniu na wolność, ubity został jeden lis koło Chełmna n. W., tj. mniejwięcej 50 km w linii powietrznej od Pruskołąki. Myśliwy, który ubił lisa, odesłał znaczek, na którym podana była nazwa łowiska (macierzystego), właścicielowi. Jak na lisa młodego, to wędrówka ta jest dość daleka. Lisy wypuszczone zostały w lutym. *O. T.*



Mikita Fot. E. Kossecki

Łabędzie na Helu. W styczniu br. na Cyplu helskim dokonano rzadkiej dublety na łabędzie, które pojawiają się tam tylko wyjątkowo. Chodzi tu o gatunek Cygnus olor, łabędź niemy, o czarnej skórzastej narośli nad dziobem i czarnych wiosłach. *N. N.*, Hel

Tani niedźwiedź. W kołach myśliwych niedawno temu opowiadano sobie, że jeden z przemysłowców zabił na wschodzie niedźwiedzia i zastanawiano się nad wysokością kary, jaką będzie musiał zapłacić. Wyrażano opinię, że odstrzał niedźwiedzia wart jest 3 tys. zł, a kara pewnie wyniesie 10-krotną wartość odstrzału, więc pewnie niefortunny myśliwy zapłaci koło 30 tys. złotych grzywny. Jakież było moje zdziwienie, gdy przed kilku dniami zauważyłem notatkę w prasie codziennej, donoszącej o epilogu tego zdarzenia. Wyrok jednego z sądów na wschodzie kraju zasądzał tego myśliwego na kilka tygodni aresztu z zamianą na 500 zł grzywny. Naturalnie nie znam okoliczności, w jakich padł ten niedźwiedź — przypuszczam, że były tam okoliczności łagodzące wyrok kary. Bądź co bądź suma 500 zł grzywny za zabicie niedźwiedzia dla osoby bardzo majętnej jest niezwykle niska. Donosząc o tym redakcji „Myśliwego" byłbym wdzięczny za wyjaśnienie, czy można z góry liczyć na łagodność wyroków sądów w takich wypadkach. *Inż. D. S.*

Z ŻYCIA MYŚLIWSKIEGO

Kilka uwag w sprawie nowego munduru łowieckiego. Ostatnio widziałem ilustrację nowego umundurowania członków Polskiego Związku Łowieckiego i prawdę mówiąc, jestem zupełnie rozczarowany; również nie spotkałem myśliwego, który by nie wyrażał się co najmniej z gorzką ironią o tym już zrealizowanym projekcie.

Rozpatrzmy więc „sine ira et studio“ poszczególne części tego umundurowania.

Nasamprzód nasuwa się pytanie: Co mieli na uwadze projektodawcy wypuszczając taki wzór, — czy chodziło o ubiór do codziennego użytku czyli na polowanie, — czy też o strój galowy, — czy też wreszcie o ubranie oficjalne na posiedzenia rad łowieckich itp. W odniesieniu do powyższego rzucają się w oczy różne mankamenty oraz niedociągnięcia. Mundur łowiecki tak jak go zaprojektowano obejmuje kurtkę, spodnie długie, kapelusz, kordelas i pelerynę.

Jeżeli chodzi o jego użyteczność do polowania, to najmniej zastrzeżeń budzi sama kurtka, ale i tu widać, że nie zastanawiano się nad koniecznością i możliwością noszenia koszuli nie białej i krawatu nie czarnego, bo chyba fircyk wystroi się tak na polowanie. Mamy więc mankament pierwszy: trzeba dopuścić możliwość noszenia koszuli i krawatu koloru kakhi lub koszuli kakhi względnie szarozielonkawej itp. z kołnierzykiem miękkim, a krawatu koloru munduru lub z materiału mundurowego.

Teraz co dzieje się z kordelasem, jak on ma być przyczepiony do boku, ani pasa na wierzchu czy spodem ani żabki itp. akwizytów, a może należy używać agrafki.

W każdym razie tak jak to pokazano na ilustracji, kordelasa nosić nie można, bo przypuśćmy, ktoś włoży jakiś drobiazg do kieszeni bocznej znajdującej się pod kordelasem, wówczas kordelas będzie odstawał od boku i będzie przypominał przysłowiowe ostrogi na łokciach.

Kordelas, jeżeli ma być w ten sposób noszony, musi być pochwą wpuszczony do kieszeni bocznej względnie do otworu poza nią, tak by tylko rękojeść wystawała.

Żeby już raz skończyć z kordelasem, nie miałem go jeszcze w ręku, ale i tak wiem, że zwykle nie pamięta się o tym, że kordelas musi posiadać ostrze na czubku specjalnie zaokrąglone, by mogło się ześlizgiwać z żeber i wnikać do wnętrza klatki piersiowej dla zadania śmiertelnej rany (w serce lub aortę); dalej kordelas musi posiadać zakończenie rękojeści pozwalające na silne pchnięcie a więc zaokrąglone a nie takie jak np. kordelas leśny z koroną na szczycie. A wreszcie po co cały ten kordelas, kto go dzisiaj jeszcze używa, kiedy według nowszych wymogów etyki łowieckiej należy ranną zwierzynę dostrzelić. Można więc było spokojnie — dla kompletu — dać jakiś zgrabny sztylecik od parady.

Do przybrania kurtki należą sznury zakończone piszczałką — koniecznie piszczałką. Otóż sznury i pasy naramienne są pozostałością po jakichś przyborach, do podtrzymywania których swego czasu służyły, jak np. pistoletu lub „patrontaszu“ i wówczas biegną z lewego barku do prawego barku do prawego boku albo pałasza czy też trąbki i wówczas nosi się je z prawego ramienia do lewego boku.

W nrze 3/38 „Łowca Polskiego“ znajduje się fotografia członków Nacz. Rady Łow. w mundurach, którzy noszą sznury już na prawym ramieniu. Jest to dobrze ze względów zasadniczych, jednakże sprzeczne z regulaminem mundurowym, zatwierdzonym przez Min. Spraw Wewn. przewidującym noszenie sznurów na lewym ramieniu. Czego się teraz trzymać?

Podobnie jak z koszulą i krawatem ma się sprawa i ze spodniami. Wzorowe umundurowanie dopuszcza tylko spodnie długie odprasowane. Nie wiem jak szanowni projektodawcy, ale ja osobiście już z górą dwa dziesiątki lat włóczę się z fuzją na ramieniu i zajrzałem już do niejednego zakątka — ale z ręką na sercu powiem, że u nas w Polsce nie ma terenów, gdzieby można się pokazać na polowaniu w długich spodniach bez narażenia się na docinki mniej lub więcej ostrojęzycznej braci myśliwych.

Jeden tylko rodzaj polowania znam, na którym występowałem na równi z innymi w długich spodniach a mianowicie latem na kaczki z podrywu, ale takie spodnie nie tylko, że nie miały pretensji do „kantu z przodu“, ale w ogóle były „inexprimable“.

Należało więc ustalić, czy to spodnie do długich butów lub też sportowe, czy też jedno i drugie.

Do całości munduru należy jako wierzchnie okrycie — peleryna.

Tu już trudno zabierać głos. Nigdy w życiu nie widziałem myśliwego na polowaniu w pelerynie (w górach — przyp. Red.) i chyba i nadal nie znajdzie się nikt, ktoby uważał to za celowe i praktyczne. Uważam, że jest to poprostu naśladownictwo mody wojskowej — i niech sobie będzie.

Za kardynalny brak uważać należy nieuwzględnienie wierzchniego okrycia w postaci kurtki myśliwskiej, tak przecież nieodzownej i tak powszechnie używanej. Należałoby więc ustalić wzór kurtki półdługiej na okres wiosenny i zimowy, jak również, co jest nie mniej ważne, kożuszka krótkiego myśliwskiego, bo inaczej będziemy mieli to samo co się dzieje w leśnictwie: czapka mundurowa a reszta jak Bóg da — ad libitum.

Pozostało jeszcze nakrycie głowy. Tu już można złożyć projektodawcom wyrazy uznania. Tu postąpili słusznie! — myśliwego stroi kapelusz. Wprawdzie kształt tego kapelusza góralskiego trochę — niecodzienny — w znakomitej większości kraju, ale to kwestia przyzwyczajenia. Jeśli już zdecydowaliśmy się na kapelusz, to dlaczego nie mamy brać wzoru rodzimego, zwłaszcza, że coś nowego stworzyć trudno a wzorów zagranicznych jest zasadniczo mało.

Zresztą nie tyle kształt ile jakość tego kapelusza będzie miała tutaj decydujące znaczenie. Moim zdaniem musi to być filc gruby a miękki i takiej jakości, że nie straci na wyglądzie, jeżeli się na nim mniej lub więcej nieumyślnie usiądzie. Pomijając tu kształt czapki (forma narciarki), która jest chętnie noszona na polowaniach zimowych (koniecznie potrzebna — przyp. Red.) zwłaszcza na wschodzie kraju, pozwolę sobie zaznaczyć, że koniecznym byłby wzór kapelusza na porę letnią. Mam wrażenie, że musiałby to być kapelusz również o kształcie góralskiego, lecz wykonany z przewiewnego płótna tzw. rogożowego, wzmocniony wewnątrz jakimiś żeberkami i posiadający ponadto dziurki wentylacyjne.

To byłyby usterki projektowanego umundurowania z punktu widzenia jego przydatności praktycznej na polowaniach.

Teraz zajmiemy się drugą częścią sprawy, a mianowicie rozpatrzymy projekt umundurowania z punktu widzenia je-

go przeznaczenia na galówki. Tu musimy się zastanowić nad dwiema odmianami, pierwsza to będą galówki w ścisłym tego słowa znaczeniu a więc obchody, pochody, rocznice itp., a druga to będą wystąpienia oficjalne o charakterze uroczystym jak rauty, bale, zjazdy itp., innymi słowy „pełna gala".

Jeżeli chodzi o galówki, to moim zdaniem projekt trafia w próżnię. Dzisiaj bowiem, o ile się orientuję, nie ma już chyba nie tylko urzędnika, ale w ogóle obywatela Rzeczypospolitej Polskiej, który by nie należał do co najmniej jednej z organizacyj o charakterze mniej lub więcej wojskowym, jak Przysposobienie Wojskowe, Strzelec, Biały Krzyż, Czerwony Krzyż, Liga jedna, druga itd.

Znalazłoby się zatem najwyżej kilka snobów, którzy by sobie dla fasonu taki mundur zafundowali, ale wątpię żeby taka garstka chciała reprezentować osobną organizację. Ale i w tym wypadku nie należało zapominać o płaszczu, bo do munduru należy płaszcz a nie peleryna, która nadaje się raczej do jazdy konnej.

Jeżeli chodzi o pełną galę — to mundur marynarkowy nie wystarcza, tak jak na uroczyste przyjęcia nie chodzi się w smokingu, tylko obowiązkowo we fraku.

Jedynym właściwym w tym wypadku ubiorem jest mundur zwany z dawien dawna „interim" — po polsku sukmana czyli surdut z wyłogami, nie dochodzący do kolan — ale dwurzędowy i z połami u dołu nie zaokrąglonymi. Do tego długie spodnie odprasowane na kant z lampasami ze strzemiązkami i lakierkami tzw. mundurowymi. Najbardziej zbliżony do tego ubioru będzie, o ile pominiemy kolory — mundur oficera marynarki wojennej.

Jako okrycie wierzchnie — płaszcz sukienny ewentualnie podszyty futrem i z kołnierzem futrzanym.

Pozostała wreszcie trzecia część sprawy — mundur na posiedzenia rad łowieckich.

Tu oczywiście jest najmniej zarzutów, bo czy ktoś na posiedzenie rady łowieckiej przyjdzie pieszo czy też przyjedzie dorożką czy samochodem, — na samym posiedzeniu kapelusz i peleryna będą zbyteczne — kolor kołnierzyka i krawata nie będzie raził, a zresztą obojętnym będzie czy pod stołem obrad nogi tkwią w lakierkach czy czarnych trzewikach. Jednak moim zdaniem dla podniesienia powagi chwili i podkreślenia ważności sprawy, przynajmniej członkowie rady naczelnej powinni na zjazdach występować właśnie w mundurze surdutowym i tak samo delegaci wojewódzkich rad łowieckich na posiedzeniach powiatowych rad.

Tyle byłoby moich obiekcyj. *Z. Ohlendorf*

Idźmy śladem króla! W styczniu br. odbyło się na terenie gromady Lubin i Wydartowo polowanie z nagonką z pokotem 86 zajęcy. Królem polowania został podłowczy p. A. Saskowski z Wyrobek.

Podczas tradycyjnych przemówień gospodarz polowania p. rotmistrz Zieliński, mając na myśli propagandę literatury łowieckiej, wręczył królowi polowania upominek w postaci pięknie oprawionej książki „Żubr puszczy Białowieskie". Gustowną winietkę w książce wykonał uczeń gimnazjalny Błaszak z Trzemeszna. Nadmienić wypada, że zwyczaj darowania książek z dziedziny łowieckiej królowi polowania, jest zaprowadzony u p. Zielińskiego już od kilku lat. Książka z podpisami jest oczywiście bardzo miłą pamiątką dla myśliwego i równocześnie staje się propagandą literatury łowieckiej.

W przemówieniach podkreślano znaczenie łowiectwa polskiego, które ongiś rozgłos niosło po całej Europie, a ostatnio na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie, uzyskało pierwsze miejsce. Mówcy podkreślali, by nadal starannie propagowano etykę łowiecką, a szczególnie w kołach młodzieży, która piękny spadek po swoich przodkach winna nadal zachowywać na wysokim poziomie.



Narybek myśliwski

Król polowania podłowczy p. Saskowski z Wyrobek w swym przemówieniu również apelował do propagowania prawidłowego łowiectwa przede wszystkim w szkołach średnich. Sam przyczynił się do tego, przez zaabonowanie „Myśliwego" dla czytelni gimnazjum w Trzemesznie.

Śladem króla, winny iść Powiatowe Związki Łowieckie, gdyż przede wszystkim one winny patronować nad przyszłymi myśliwymi. O ile wszystkie nasze średnie uczelnie i szkoły rolnicze stać będą pod opieką Powiatowych Związków Łowieckich (w dziale łowieckim), natenczas będziemy mieli rękojmię, że łowiectwo nasze nadal będzie przodującym nie tylko w Europie, ale i poza kontynentem.

Vivant Sequentes! *Myśliwy*

Marzec myśliwego-hodowcy. Miesiąc ten jest tzw. przełomowym nie tylko w przyrodzie ale również i w gospodarce łowieckiej. Zwierzyna przechodzi z pokarmu suchego do paszy zielonej. Zbyt raptowne przejście może fatalnie odbić się na stanie zdrowotnym zwierzyny; toteż w marcu mimo najpiękniejszej pogody, mimo zjawiającej się już tu i ówdzie świeżej trawki, nie należy zaprzestać podkarmiania zwierzyny łownej. Nie chodzi tu o każdy gatunek; kuropatew i zajęcy już podkarmiać nie trzeba, sarny również bardzo skąpo przyjmują sztuczną paszę. Podkarmiać natomiast tak samo intensywnie jak przedtem należy bażanty i jelenie. Bażanty należy po to specjalnie w marcu i kwietniu intensywnie podkarmiać, by się nie rozbiegły, Zazwyczaj w marcu sprowadza się bażanty dla odświeżenia krwi. O ile wypuszczone bażanty nie znajdują w nowym łowisku pokarmu w dostatecznej ilości, natenczas wędrują. W dodatku wiosną zaczynają się toki, więc łatwo o ubytek drogich importów. Jelenie natomiast w marcu zrzucają wieniec. Dla wytworzenia nowych potrzebują specjalnie w pierwszym czasie ich rozwoju oraz już poprzednio, większe ilości pokarmu. Brak tego ostatniego często jest powodem. że mimo łagodnej zimy i wczesnej wiosny wieńce u nasady są słabsze, a dopiero później (maj, czerwiec) wytwarzają większą ilość odnóg. Marzec jest miesiącem spokoju. Poluje

się jedynie na głuszce, cietrzewie i słonki. Za to hodowca-myśliwy ma pełne ręce roboty. Na poprzednio wybranych miejscach przystępować należy do przeróbki gleby pod poletka. Zeszłoroczne nieprzeorane pola łubinu, seradeli itp. trzeba przeorać i przygotować pod obsiew. W marcu można już przystąpić do wysiewu żarnowca (poprzednio moczonego) oraz jarmużu w inspektach. Jarmuż ten wysadza się później wzgl. stwarza zimą tzw. sztuczne wzgl. lotne remizy (p. styczeń myśliwego-hodowcy).

W marcu przystąpić trzeba do oczyszczenia, uzupełnienia oraz zakładania lizawek, potrzebnych szczególnie zwierzynie płowej oraz sarnom.

Rozróżniamy lizawki skrzynkowe oraz palikowe. Przepis sporządzenia dobrej lizawki jest następujący: Należy dokładnie zmieszać z solą czystą glinę bez kamyczków, przesianą przez sito w stosunku $^1/_3$ część soli i $^2/_3$ części gliny. Po dokładnym wymieszaniu gliny ze solą zwilżyć trzeba mieszankę tę w ten sposób, by utworzyła się gęsta papka, którą wypełnia się skrzynki lizawkowe. Skrzynie te wielkości około 75 $\times$ 75 cm w kwadracie wkopuje się do ziemi tak, by brzegi ich wystawały około 10 cm ponad powierzchnię ziemi. Papkę ubija się stożkowato, kładąc do środka kołek u wierzchu zaostrzony, wystający z lizawki około 40 cm, by w ten sposób zapobiec zanieczyszczeniu lizawek przez lisy, kuny i inne zwierzęta. Lizawki wkopuje się do ziemi oczywiście tam, gdzie zwierzyna ma swą ostoję, wzgl. gdzie przebywa podczas pasania się oraz w pobliżu wody.

Co do ilości potrzebnych dla łowiska lizawek skrzynkowych, to trudno ustalić ścisłą ich liczbę. Przyjąć trzeba jednak, że przeciętnie na oddział o powierzchni 30 ha trzeba 1 lizawkę. Bardzo wskazanym jest założyć lizawki w wydrążonych pniakach drzew. Lizawki te mają tę zaletę, że zwierzyna lizawki takie, mające bardziej naturalny wygląd, chętniej przyjmuje. By zwierzynę szybciej przyzwyczaić do lizawek, stosować można jako przynętę rozrzucone na wierzchu lizawki jemiołę, kamforę, owies itp.

Stosuje się również lizawki tzw. palikowe i to szczególnie w łowiskach, w których zwierzyna rochmanna spałuje tzn. obgryza korę.

Wkopuje się do ziemi nieokorowany słup sosnowy lub świerkowy wielkości 2 m i średnicy 20—25 cm, który rozcina się u góry na długości 20 cm. W tak powstałą szczelinę wkłada się kawał prasowanej soli bydlęcej. Pod wpływem opadów atmosferycznych sól się rozpuszcza i spływa po pniu, osadzając się w szczelinach kory. Osad ten bywa następnie chętnie zlizywany przez zwierzynę łowną. W marcu rozpoczyna się przelot wiosenny drapieżników skrzydlatych. Dobrze jest w czasie tych przelotów zapolować na nie, szczególnie z puchaczem. Polowanie to poza dobrymi rezultatami daje myśliwemu również dużo emocji.

Pamiętać należy również o tępieniu (szczególnie w łowiskach, gdzie są bażanty, głuszce, kuropatwy itp.) wron szarych, srok i sójek. Sposoby tępienia opisane są w artykule dra inż. L. Ossowskiego zamieszczonym w nrze 3/38 „Myśliwego".

Przez mikrofon. W dniu 17 marca 1938 r. wygłosi na fali toruńskiej dr inż. Leon Ossowski pogadankę łowiecką na temat „Ochrona wiosennych lęgów ptaków łownych".

Niedźwiedzia przysługa. W jednym z ostatnich numerów tygodnika radiowego „Antena" pod tytułem „Przedwiośnie i myśliwy" umieszczone są fotografie niczym nie przypominające „przedwiośnie", a mianowicie dzik na tle krajobrazu śniegowego oraz myśliwy z ubitym rysiem.

Jednakże nie o to głównie chodzi. Poniżej umieszczona jest zapowiedź łowieckiej audycji radiowej p. X Y (dosłownie): „jednego z niewielu polskich myśliwych, który umie nie tylko strzelać, ale również patrzeć i zachwycać się cudami natury". Co na to inni myśliwi? Zaiste niedźwiedzia przysługa oddana polskim myśliwym i polskiemu łowiectwu.

Spóźnione. W styczniu br. odbyło się polowanie z nagonką na poligonie artyleryjskim koło Torunia, które urządzał Ofic. Klub Myśliwski z Torunia. Ubito 41 zajęcy i 4 lisy. Fotografia poniższa przedstawia uczestników polowania z Wojewodą Gnoińskim pośrodku.



Z TOWARZYSTW

Dziesięciolecie Wielkopolskiego Stowarzyszenia Myśliwskiego w Poznaniu. Wielkopolskie Stowarzyszenie Myśliwskie w Poznaniu obchodziło w dniu 1 lutego 1938 r. dziesięciolecie swego istnienia.

W pięknie przybranej sali członka p. Heyduckiego zgromadzili się członkowie, przedstawiciele władz i goście.

Zebranie zagaił prezes p. Tomaszewski, witając obecnych, a zwłaszcza: prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych p. Chłapowskiego, mgra Błocha jako przedstawiciela p. Starosty Grodzkiego, radcę Ziółkowskiego jako Łowczego Grodzkiego i innych.

Szczegółowe sprawozdanie z działalności Stowarzyszenia w ciągu 10-lecia złożył wiceprezes W. S. M. p. Stanisław Górecki. Jak wynikało z sprawozdania, Wielkopolskie Stowarzyszenie Myśliwskie powstało w dniu 23 stycznia 1928 r. Pierwszym prezesem był p. Teodor Giemza, a od 9 lat stoi na czele tej organizacji p. Kazimierz Tomaszewski. Główną działalnością W. S. M. jest dzierżawa terenów łowieckich i jak wynika z zestawień, sami członkowie dzierżawią obszar około 85 000 ha. Stowarzyszenie posiada również bibliotekę łowiecką, składającą się z przeszło 200 książek myśliwskich. W urządzanych na terenie miasta Poznania strzelaniach myśliwskich bierze Stowarzyszenie stale udział, jak również samo organizuje rok rocznie doroczne strzelania konkursowe, które cieszą się niebywałym powodzeniem. Mistrzem na rok jubileuszowy został p. Kałużny, a wicemistrzem p. Depczyński.

W dowód uznania za prace około rozwoju Stowarzyszenia jak i łowiectwa, zarząd przyznał dyplomy następującym członkom: Błochowi, Depczyńskiemu, Góreckiemu, Jankowiakowi, Kałużnemu, Nowakowi, Przykuckiemu, Poznańskiemu, Pietrzyńskiemu, Skibińskiemu, Staszewskiemu i Zielińskiemu, które wręczył odznaczonym prezes p. Tomaszewski.

Przemówienia okolicznościowe rozpoczął p. dyr. Józef Staszewski, który wręczył Stowarzyszeniu imieniem Zakł. Amun. „Pocisk“ piękną wazę kryształową jako puchar wędrowny na doroczne konkursowe strzelania myśliwskie; następnie prezes p. Chłapowski imieniem Wielkopolskiego Związku Myśliwych oraz w charakterze Łowczego Wojewódzkiego, p. Nikodem Muszyński imieniem członków i sympatyków W. S. M. wręczył prezesowi Tomaszewskiemu piękną złotą plakietę, p. dr inż. Szuman imieniem Wielkopolskiej Izby Rolniczej oraz wiceprezes W. S. M. p. Górecki wręczyli prezesowi Tomaszewskiemu imieniem zarządu i komitetu jubileuszowego dyplomu uznania.

Nadesłane pisma i telegramy gratulacyjne odczytał p. Górecki.

Na zakończenie uroczystości podziękował p. Tomaszewski zebranym za przybycie i okazaną życzliwość wobec W. S. M. i zamknął zebranie hasłem „Cześć Myślistwu“.

Zebranie zakończono fotografią.

Po zebraniu odbył się wieczorek karnawałowy, który w harmonijnym nastroju przeciągnął się do rana.

KOMUNIKATY

Komunikat „Łowca Wielkopolskiego“. Zgodnie z naszą zapowiedzią z okazji wystawy w marcu 1936 r. oraz z uchwałami Walnych Zebrań i Zarządu „Łowca Wielkopolskiego“, postanowiliśmy w marcu br. urządzić pokaz trofeów myśliwskich, by dać pogląd na wyniki hodowli i rozwój naszego zwierzostanu od czasu ostatniej naszej wystawy. Pokaz ten obejmować ma trofea zdobyte przez naszych członków od marca 1936 r. do 28 lutego 1938 r. Chcąc dać możliwie dokładny obraz gospodarki łowieckiej w ramach naszego towarzystwa, zwracamy się do naszych PP. Członków z wezwaniem, by uważali wystawienie wszystkiego tego, co w tym czasie ubili, za bezwzględny swój obowiązek, wynikający z przynależności do naszej organizacji.

Ażeby uzyskać jak najlepszy pogląd na naszą zwierzynę, zwracamy się także do naszych sympatyków z prośbą o obesłanie tej wystawy. Dlatego też postanowiliśmy w dziale II dopuścić do pokazów także i nieczłonków, przy czym trofea ubite w latach 1936 i 1937 przez nieczłonków będą stanowiły odrębną całość. Na życzenie naszych myśliwych dopuszczamy wreszcie w tym dziale także do pokazu trofea, ubite w dawniejszych latach, o ile dotychczas nie były w Poznaniu wystawiane.

Prowadząc w dalszym ciągu propagandę łowiectwa jako część gospodarki i kultury narodowej, dodajemy zgodnie z dawniejszą zapowiedzią dział III, który obejmować będzie polską bibliografię łowiecką oraz poglądowy materiał naukowy, związany z łowiectwem. Poza tym, uwzględniając wzajemne oddziaływanie łowiectwa i sztuki na siebie, dopuszczamy do wystawy także wszelkiego rodzaju dzieła sztuki, dotychczas nie pokazywane na naszych wystawach łowieckich.

Otwarcie wystawy nastąpi dnia 13 marca br. w południe, a trwanie jej przewidujmy do 27 marca.

Deklarację prosimy nadsyłać najpóźniej do dnia 1 marca 1938 r., a eksponaty do dnia 5 marca pod adresem Łowca Wielkopolskiego w Poznaniu, ul. Piekary 5, m. 5, tel. 48-57.

Zarząd:

Dr Stanisław Celichowski, prezes; Jan Mlicki, wiceprezes; Tadeusz Mejer, wiceprezes; Stefan Rousseau, sekretarz; Stefan Gniatczyński, skarbnik; dr Tadeusz Brzeski, gospodarz; Jerzy Modzelewski, zast. łowczego; Prezydent Tadeusz Ruge, radny; Franciszek Nowak, radny; Antoni Kłos, radny; Antoni Pertek, radny.

Komisja wystawowa:

Dr Stanisław Celichowski, przewodniczący; Tadeusz Mejer i Stefan Gniatczyński, zastępcy przewodniczącego; dr Tadeusz Brzeski, gospodarz; Bol. Gołencki, zast. gospodarza; Tadeusz Metzig; Jerzy Modzelewski; Br. Przybylski; Stefan Rousseau; dr Edward Schechtel; dr Jerzy Szuman; dr Krzysztof Wize.

SKRZYNKA ŁOWIECKA

16. *Gdzie mogę nabyć bażanty obrożne, a gdzie ewent. bażanty tenebrosus?* *Dr F. R. Zagożdżon*

Bażanty obrożne nabyć można w Zarządzie maj. Montowo pow. Lubawa — Pomorze; w maj. Pudliszki, woj. poznańskie; w Zarządzie Lasów Pszczyna; w maj. Dębica-Małopolska. Bażanty tenebrosus sprzedaje O. Bernuth, Borowo, p. Czempiń. Cena ich wynosi około 22 zł za sztukę.

17. *Czy pryszczyca przenosi się również na sarny?* *R. M. Łążyn*

Pryszczyca opada zwierzęta parzystokopytne. Należało zatem przypuszczać, że przenosi się również na sarny. Patrz artykuł: Z pola i kniei „Pryszczyca“, Nr 2/38.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Nowe wydawnictwo łowieckie. Nakładem Polskiego Związku Łowieckiego wyszedł Kalendarz Myśliwski na 1938 rok. Poza wielu pożytecznymi działami codziennego życia łowieckiego (dziennik myśliwski — czasy ochronne, sprawa przewozu psów myśliwskich, tabelki do wyznaczenia stanowisk) zawiera Kalendarz rozporządzenie Prezydenta Rzplitej o prawie łowieckim oraz inne ważne przepisy i wskazówki, umieszczone już w poprzednich rocznikach Kalendarza.

Na specjalną uwagę zasługują pożyteczne i treściwe artykuły o charakterze hodowlanym i balistycznym, a mianowicie: inż. W. Maryańskiego o strzałach kulowych, kpt. Łysińskiego o locie ptaków oraz Hueckel'a o dziku karpackim. Inż. W. Wankiewicz pisze o łowiectwie na Wileńszczyźnie, a O. Pereświt Sołtan o polowaniu na drobne szkodniki z psami oraz o polowaniu na cietrzewie z bałwanami.

Ponadto znajdują się w Kalendarzu artykuły pp. Garczyńskiego, X. Precka, M. Tchórznickiego i C. Lisowskiego. Oprócz tego umieszczono obszerniejszy dział kynologiczny oraz związkowy.

To niezwykle pożyteczne wydawnictwo możemy polecić wszystkim myśliwym. Cena 3 zł. — Do nabycia w Administracji „Łowiec Polski“, Warszawa, Nowy Świat 35.

Rysunek na okładce Leona Prauzińskiego

Nakład i druk: Rolnicza Drukarnia i Księgarnia Nakładowa Spółka z ogr. odp. w Poznaniu, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.
Redaktor naczelny: Dr inż. Leon Ossowski.
Redaktor odpowiedzialny: Sylwester Michał Urbański.
Adres redakcji i administracji: Poznań, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.
Prenumerata: za kwartał zł 3, za pół roku zł 6, za rok zł 12.
Pocztowe konto rozrachunkowe nr 28, PKO 212 175.
Redakcja nie zwraca rękopisów przyjętych do druku i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów oraz decyzji co do czasu ich umieszczenia.